Nr. 30. Poznań, Niedziela, dnia 27-go Lipca 1902 r. Rok VI.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 mk.; na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
Pod opaską: w Niemczech 1,90 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dolar 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr 1246.

Manuskryptów nie zwraca się.



Ciężka strata nawiedziła stolicę apostolską, ciężką, bolesną stratę uczuwa w tej chwili cały naród polski, a szczególnie wierni gnieźnieńsko-poznańskiej archidyecezyi.

W nocy z poniedziałku na wtorek zamknął oczy do snu wiecznego ks. kardynał Mieczysław Halka-Ledóchowski, najwyższy po Ojcu św. władzca hierarchii kościelnej, wielki syn naszej nieszczęśliwej polskiej Ojczyzny, dzielny i światły wódz zastępów chrystusowych, jeden z najszlachetniejszych obrońców naszego Kościoła.

Żałobna ta wieść, rozniesiona dnia 22-go b. m. rano telegramem po świecie, serdecznym żalem i smutkiem przepełnia nasze serca, przypominając owe czasy okropne, a nie tak dawne, owe zuchwałe pobudki walki kulturnej, wydane przez „żelaznego" księcia tak brutalnie, tak cynicznie i nienawistnie przeciwko Kościołowi naszemu, przypominając niewysłowione cierpienia i katusze, jakie znosił z iście bohaterską godnością ówczesny nasz Arcypasterz, przypominając chwile Jego męczeństwa, gdy nie mogąc poddać się uwłaczającym czci kościelnej żądaniom szedł jako ofiara bismarkowskiej pychy, nienawiści i gwałtu w mury ostrowskiego więzienia.

Złączone z ciężką żałobą wspomnienia te, wiążą się dziś w sercach naszych w akord smutny, w harmonią pełną żalu, w hymn boleści, który niech będzie pożegnaniem schodzącego do grobu męczennika, a błaganiem do Boga o wiekuistą dla zgasłego księcia łaskę, dla nas zaś, jego braci, o pocieszenie i pomyślniejszą dolę...

* * *

Mieczysław hrabia Halka Ledóchowski urodził się dnia 29 października r. 1822 w Górkach pod Klimuntowem w województwie sandomierskiem, jako syn Józefa Zacharyasza hr. Halki-Ledóchowskiego, herbu Szaława, i Maryi z Zakrzewskich. Historya rodu Ledóchowskich sięga bardzo dawnych czasów, bo aż w wiek XI-ty. Węzły pokrewieństwa łączą ród ten z wielu znanemi rodzinami, jak Czaccy, Morawscy, Morsztynowie, Ostrowscy, Potoccy, Wielopolscy i inni.

Z kroniki rodzinnej na wspomnienie zasługuje, że dwaj Halkowie Iwan i Wacław walczyli dzielnie przeciwko krzyżactwu pod Grunwaldem r. 1410 i że później Stanisław Halka stanął w zastępie przeciwników Augusta II, tj. w rzędzie tych, którzy przewidywali, że saskie rządy Ojczyźnie

naszej nic dobrego nie przyniosą. Ś. p. Mieczysław kształcił się początkowo w domu rodzicielskim, a później w Radomiu i Warszawie, zaliczany do uczniów najcelniejszych. Ukończywszy chlubnie nauki gimnazyalne, odznaczony nagrodą przez cara Mikojała I, wstąpił do seminaryum księży Misyonarzy w Krakowie a następnie udał się do Rzymu na wyższe studya teologiczne.

Papież Grzegórz XVI upodobał sobie młodego polskiego teologa, szczególną otoczył go opieką i umyślił udzielić mu święceń kapłańskich przed czasem przepisanym, kanonicznemi prawami. Gdy atoli młodego kleryka w tym celu przywołał do siebie i kazał mu się przygotować do świętego obrzędu, wtedy usłyszał z ust jego pokorne słowa, że ani lat odpowiednich, ani też świadectw jeszcze nie posiada. Na to Ojciec św. rzekł:

„Jestem Papieżem i zwalniam cię z obowiązkowych kwalifikacyi.“

Posłuszny woli Namiestnika Chrystusa Pana, X. Mieczysław przygotował się do uroczystego aktu i dnia 13 lipca roku 1845, jako młodzieniec 22 letni, otrzymał święcenie z rąk Kardynała-Wikaryusza w kościele św. Jana na Lateranie; a nazajutrz, dnia 14 lipca, odprawił pierwszą Mszą św. u grobu św. Piotra. Następca Grzegorza XVI, Ojciec św. Pius IX, ocenił należycie zalety młodego sługi kościoła i nieba, wem przeznaczył go do różnych poruczeń, dowodzących wyjątkowego zaufania.

I tak nasamprzód, mianowany tajnym podkomorzym (cameriere segreto), udał się X. Mieczysław z polecenia Piusa IX do Madrytu, zawożąc kapelusz kardynalski arcybiskupowi Franzoniemu. Następnie towarzyszył jako auditor X. Kamillo'wi di Pietro, wysłanemu na posadę nuncyusza w Lizbonie. Tam zdobył sobie wkrótce nie tylko poważanie na królewskim dworze portugalskim i szacunek przełożonych, lecz nie mniej przywiązanie obcej mu językiem i narodowością ludności.

Wśród prądów rewolucyjnych, jakie porywały wówczas w Portugalii tysiące niezadowolonych, X. Mieczysław z chlubą i chwałą dla siebie spełniał swoje posłannictwo, a pod okiem nuncyusza, wyniesionego niebawem do godności kardynalskiej, nabrał biegłości w sprawowaniu urzędów na wysokich dworach.

W r. 1856 polecił Pius IX. Mieczysławowi urząd delegata apostolskiego w rzeczypospolitej Nowej Grenadzie, w Ameryce południowej. Gdy podczas podróży gwałtowna rozszalała burza, a wszyscy podróżni widmem niechybnej — jak się zdawało — śmierci przerażeni, truchleli z trwogi, wtedy X. Mieczysław z wyrazem spokoju na twarzy i modlitwą na ustach, polecał łasce Boga los zagrożonych.

Wtedy to zatopionemu w modłach ukazało się widzenie — ujrzał obraz modlącej się Makryny Mieczysławskiej, przełożonej matki Bazyljanek w Rzymie, z którą go, jakby święta, łączyła przyjaźń, a która padła ofiarą schizmatyckiej zaciekłości. Wkrótce potem ucichły się rozszalałe na morzu żywioły a statek szczęśliwie dopłynął do celu swej podróży.

Powróciwszy z Ameryki X. Mieczysław w r. 1858 mianowany został arcybiskupem tebańskim „in partibus infidelium,“ a nieco później nuncyuszem apostolskim w Brukseli. Po pięcioletniem chlubnem piastowaniu tego dostojeństwa powołany został na tron prymasowski do naszej archidyecezyi, gdy śmierć zabrała jednego z najbardziej nękanych prześladowczą siłą arcypasterzy naszych, X. Leona Przyłuskiego.

Na konsystorzu w r. 1866 prekonizowany został razem z patryarchą cagrodzkim i ks. Melchersem, arcybiskupem kolońskim. Z początku panowało w Berlinie dla nowego arcypasterza życzliwsze usposobienie, i tem się tłomaczy, że w chwili uroczystego wjazdu do Poznania przedstawiciele władz ubiegali się porówno z ludnością polską w oddawaniu czci i uszanowania.

Tak więc w chwili objęcia rządów archidyecezyalnych pomyślniejsza zapowiadała się przyszłość. Ks. Prymas z wielką energią zabrał się do reorganizacyi wewnętnych stosunków dyecezyi, przyczem niestety zbyt wiele okazywał gotowości do ustępstw wobec rosnących z dniem każdym pretensyi do rządu pruskiego. Obok licznych ulepszeń w nabożeństwach, pajmiętał przedewszystkiem o przygotowaniu wiernych do Sakramentu bierzmowania, a młodych owieczek do pierwszej Spowiedzi i Komunii św. Nie szczędził też trudu i zabiegów, ażeby podczas wizytacyi kościelnych rozliczne zaprowadzić ulepszenia, naprawić zaniedbane świątynie itp.

Tymczasem stosunek do rządu stawał się coraz gorszym i coraz przykrzejszym. Ustępstwa uczynione przez Ks. Prymasa nie zadowalniały Bismarka i jego współdziałaczy. Ani zaprowadzenie języka łacińskiego, jako kościelnego, do wykładu teologii dogmatycznej i moralnej w seminaryum duchownem, ani następnie zezwolenie na niemiecki wykład religii w sekundach i prymach gimnazyalnych nie wystarczyły w Berlinie, a ludność polską obraziły w narodowych jej uczuciach.

Niemniej dotknęło polskich dyecezjan to, że Ks. Prymas, jakkolwiek dobremi intencyami się kierując, udał się w chwili pruskiego nad Francyą tryumfu do Wersalu, ażeby powinszować monarsze pruskiemu zwycięztwa, a przy tej sposobności pozyskać go dla przywrócenia świeckiej władzy Papieża. Zdawało się nie bez słuszności, że podróż taka Ojcu św. żadnego nie przyniesie pożytku, a dla Polaków może być tylko upokorzeniem. Ale była to chwila przesilenia.

Coraz bezwzględniejsze postępowanie rządu przekonało niebawem arcybiskupa Mieczysława, że politykowanie z Berlinem niczego nie dokaże. Z tą samą zaś chwilą rozpoczęło się męczeństwo jego na prymasowskim tronie.

Osłaniane tajemnicą spory z Berlinem zamieniły się niebawem w otwarty zatarg. Posypały się na ks. Prymasa procesy liczne i wysokie kary więzienne, a gdy kasa arcybiskupia na to nie starczyła, wtedy sfantowano mu wszelkie ruchomości.

Dnia 24 listopada r. 1883 wezwał go naczelny prezes rejencyi poznańskiej Günther, ażeby dobrowolnie ustąpił arcybiskupiego tronu, a w dwa miesiące po odmownej ks. arcypasterza odpowiedzi rząd pruski wydał rozkaz aresztowania go i uwięzienia w Ostrowie. Wśród powszechnego żalu i płaczu ludności dostojny więzień opuścił na zawsze Poznań, ale nie opuścił swych wiernych, zostawiając nad nimi opiekę i sprawując dalej rządy swoje za pośrednictwem tajnych, a zdolnych do poświęceń delegatów.

Ojciec św., Pius IX., strapiony takim losem jednego z najgodniejszych książąt kościoła, pragnąc mu nieść pocieszenie, wyniósł go do godności kardynała, której oznaki wręczono ks. Ledóchowskiemu w r. 1875, mimo czujnej straży więziennej. W rok potem wyswobodzono dostojnego więźnia z niezasłużonej niczem kaźni. Przyjechawszy do Krakowa udzielił zgromadzonym tłumom ludności swego błogosławieństwa, lecz gdy następnie miał wystąpić w charakterze prymasa z odpowiedniemi odznakami, wtedy specyalny delegat cesarza Franciszka przybył do niego z prośbą, ażeby „Jego Arcybiskupia Mość ze względu na polityczne trudności zechciał tego zaniechać.“ Czyniąc zadość prośbie cesarza, ks. arcybiskup swego charakteru, jako prymas Polski, w prastarej stolicy Jagiellonów nie zaznaczył i udał się do Rzymu, gdzie go najwyższe czekały dostojeństwa.

Po śmierci Piusa IX. zrzekł się godności arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego, posłuszny życzeniu Ojca św., Leona XIII, a w kilka lat potem zajął najwyższe po Papieżu stanowisko w hierarchii kościelnej — Prefekta św. propagandy, zwanego we Włoszech „Papa

rosso." Na tem stanowisku dokonał zacnego i czystego żywota.

* * *

Zdala od ojczystych stron, zdala od narodu, który go wydał, ks. kardynał Ledóchowski pamiętał o tem, co winien Polsce i Polakom. Spełniając posłannictwo swoje kapłańskie przez długi czas poza granicami rodzinnego kraju, obcym się stał naszym stosunkom, liczył się może za mało z początku z uczuciami swych archidyecezyan, zbyt wiele ufał swej sztuce politycznej wobec rządu pruskiego. Ale serce szczerze polskie zachował zawsze, a w tej samej chwili, gdy rozpoznał, że wszelkie ustępstwo szkodę przynosić może porówno religii jak narodowości wiernych, umiał być najlepszym synem Ojczyzny, zacnym bratem i pełnym poświęcenia męczennikiem. To zapisać należy ku chwale i czci schodzącego do grobu księcia kościoła, zapisać należy obok tych niezliczonych udręczeń, przykrości i bólów, jakich mu los nie poskąpił na prymasowskiej stolicy.

Uwielbienie, miłość i przywiązanie ogółu zazwyczaj stanowi miarę w ocenie wartości władzców. A cześć, miłość i przywiązanie porówno w najboleśniejszych momentach, jak w chwilach pomyślniejszego losu była wielką. Nie tylko my wszakże, ale wszyscy cudzoziemcy, a przedewszystkiem cały świat katolicki z czcią wspominać będzie imię tego wielkiego księcia kościoła, świątobliwego męża i męczennika dobrej sprawy.

Verus.

Oświadczenie radnych polskich.

Usuwanie się Polaków od współudziału w uroczystościach cesarskich na początku września jakoś bardzo niedogodnem jest polakożerczym szczwaczom. Zdawałoby się, iż każdemu łajdakowi, ziejącemu nienawiścią do wszystkiego, co polskie, upragnioną powinna być zupełna nieobecność żywiołu polskiego podczas przygotowywanych festynów. Tymczasem — o dziwo! — w prasie antypolskiej znać pewne zaambarasowanie i zakłopotanie z powodu, że z wszelkich reprezentacyi, które albo mają się przedstawić cesarzowi-jegomości, albo też mają podjąć go na uroczystych bankietach, Polacy cofają się solidarnie.

I w tem widać znikczemnienie pojęć, brak ludzkich odczuć i marny, niski poziom ducha wśród opinii niemieckiego narodu, tego narodu, który nadyma swą pyszałkowatą i samochwalczą gębę (za przeproszeniem!) — frazesami o kulturnej nad nami przewadze. Każdy człowiek, stojący choćby na miernym stopniu cywilizacyi i prawdziwego człowieczeństwa, zrozumiałby i odczuł snadno, że naród mający świetną przeszłość dziejową, narodową dumę, świadomość własnej czci i godności, — nie może bez upodlenia garnąć się do jakichbądź obcych festynów wespół z tymi, którzy jego niedoli, jego krzywd, jego katuszy i bólów są nieludzkimi sprawcami.

Jeźli więc Niemcy uraszczają sobie pretensye, ażeby Polacy nawet po Wrześni i mowie malborskiej nie usuwali się od uczestnictwa i gdy nawet usuwanie się nasze nazywają zuchwałością czy arogancyą — to nadają sobie znamię głupoty i nędzy moralnej.

Znamieniu temu bynajmniej nie myślimy przeczyć. Natomiast stanowczo zaprotestować musimy przeciwko nadawaniu pozorów, jakoby reprezentacyjne ciała, do których wespół z Niemcami Polacy także należą, harmonijnie i solidarnie uchwalały uczestnictwo swoje w ceremoniach przygotowywanych na przyjęcie monarchy. Domagać się mamy prawo, ażeby w księgach protokularnych owych przedstawicielstw ku wiecznej pamięci zapisanemi były oświadczenia polskich członków, iż z powodu prześladowczej polityki, ziejącego nienawiścią usposobienia współobywateli niemieckich i objawionej nieżyczliwości cesarza i króla, Polacy od wszelkiego udziału w uroczystościach wrześniowych usuwać się muszą, a wszelkie przyłączenie do uczestnictwa uważać za brak ambicyi.

Tego samego mamy prawo żądać od poznańskiej rady miejskiej, a wszelką krętaninę piętnować jako nadużycie. Nie chcemy jeszcze przesądzać, czy prezydyum w porozumieniu z członkami niemieckiej narodowości umyślnie urządziło obrady nad uczestnictwem miasta w festynach wrześniowych tak, jakoby i polscy radni na wszelkie wydatki i projektowane pompy się godzili; wszelako sądząc, podług wyjaśnień dotychczasowych, za uzasadnione uważamy podejrzenie, że podstępną sztuczką usiłowano uniknąć wyrazu polskiej opozycyi.

Na pierwszą wieść o tem, że magistrat przedkłada radzie wniosek o uchwalenie 50,000 marek na przyjęcie cesarza niemieckiego, polscy członkowie rady, postanowili złożyć deklaracyą odmowną i opuścić salę obrad. Niemcy dowiedziawszy się o tem, użyli następującego fortelu. Na posiedzeniu, na którem wniosek miał wejść pod dyskusyą, powstał jeden z radnych Niemców i wniósł o odroczenie obrad nad wnioskiem magistratu. Ponieważ przeciwko propozycyi odroczenia ani z łona izby, ani też z prezydyum nikt się nie oświadczył, przeto polscy radni w przekonaniu, że sprawa traktowaną będzie dopiero na następnej sesyi, powychodzili do swych prywatnych czynności. Tymczasem po ich wyjściu urządzono szybko tajne posiedzenie i oswobodziwszy się od wszelkiej opozycyi, przyjęto wniosek magistracki bez dyskusyi.

Z powodu powyższego fortelu polscy radni zeszli się na naradę i uchwalili następujące oświadczenie:

„Do przewodniczącego rady miejskiej
JWPana Herzberga
w miejscu.

Na posiedzeniu rady miejskiej z dnia 9-go b. m. było umieszczone na porządku obrad: „Uchwalenie kosztów urządzeń, mających

się poczynić z okazyi bytności jegomości cesarza i jejmości cesarzowej.“

Otrzymałem upoważnienie do złożenia imieniem polskich członków rady miejskiej następującej deklaracyi:

„Ze względu na znaną mowę jegomości cesarza i króla, wygłoszoną przy sposobności festynów malborskich, musimy przypuszczać, że udział polskiej ludności w przyjęciu jego królewskiej mości nie jest chyba pożądanym. W tem przypuszczeniu oświadczamy, że nie weźmiemy udziału w obradach nad niniejszem przedłożeniem.“

Ponieważ jednak przy rozpoczęciu posiedzenia pan radny miejski Jaekel wniósł o odroczenie obrad nad tym punktem i ponieważ przeciw temu jego wnioskowi opozycyi nie było, przeto sądziłem, że rada miejska na wniosek się zgodziła, i następnie opuściłem salę przed końcem posiedzenia dla pilnych spraw.

Ku memu zdumieniu dowiedziałem się później, że projekt mimo to na tem samem posiedzeniu został załatwiony. Poczuwam się więc do obowiązku JWPanu to zakomunikować.

Z wysokim szacunkiem
Dr. Kożuszkiewicz.“

W myśl powyższego oświadczenia cała opinia polska zaprotestować jest zniewoloną przeciwko tego rodzaju krzyżackim sztuczkom. Na to mamy polskich rajców miasta, ażeby w danych wypadkach składali w radzie miejskiej wyraz zapatrywań i uczuć polskiej naszego miasta ludności. A jeżeli Niemcom szczególną przyjemność sprawia krzywdy ustawicznie wyrządzać Polakom, to niechże im też będzie przyjemnie wysłuchać wyrazu, jak te krzywdy nas usposabiają.

Atoli ubolewać i nad tem trzeba, iż polscy radni znając chytrą i podstępną naturę niemiecką, pogorszoną jeszcze przez żydowskie przymieszki, nie opatrzyli się należycie i przedwcześnie opuścili salę obrad.

Teraz naturalnie zadowolnić się należy napiętnowaniem niemiecko-żydowskiego fortelu i zaznaczeniem we wszystkich pismach polskich, iż radni nasi, tak samo jak członkowie sejmu prowincjalnego, uznali współuchwalenie z Niemcami funduszu na przyjęcie nieżyczliwego nam monarchy i uczestnictwo w uroczystościach recepcyjnych za niezgodne z naszemi uczuciami, za niezgodne z naszą dumą i ambicyą narodową.

To podkreślić należy dla współczesnego świata i dla naszej polskiej potomności.

Vester.

Szczęść Boże!

Po wszystkich naszych wsiach usłyszysz dziś wesołe pobrzękiwanie kos, wszędzie, gdzie jest młodzież — śpiewy, żarty i nawoływania, by przodownicy i przodownice szły żwawo naprzód. Kosy im w ręku gwiżdżą, sierpy zgrzytają, grabie kłosy ściągają do gromady, a pot z czoła nieraz strumieniem płynie. I pomimo tego potu w duszy wszystkim wesoło; każdy rwie się do pracy wśród łąk i łanów złotego zboża, a rwie się do niej tymbardziej, że długo było niepewne, co Bóg da: plony dobre, czy liche?

Spodziewano się nawet ogólnie plonów lichych, bo zdawało się, że je zniszczą zimna, następnie susze wielkie, a potem znów smutna zapowiedź Siedmiu Braci Śpiących.... Tymczasem teraz, co się kto zjawi ze wsi, to z twarzą uśmiechniętą, bo żniwo obfite, byle Bóg pogodę dał...

— Niesłuszne były — powiada obawy. Bóg dał. Żyto pod sierp, a pszenica jak trzcina, zdaleka się lśni bujny liść buraków, jarzyny również zapowiadają obfite żniwo: jednem słowem, jak Wielkopolska długa i szeroka — chleba będzie dosyć i uskarżać się nie można na błogosławiony plon, tylko Boga o pogodę prosić...

Tak mówią nam Czytelnicy, a opowiadanie to cieszy nas tak samo jak cieszy gospodarza, gdy z pełnemi furami wjeżdża do sąsieka i gdy w nim aż pod strych układa a układa i zmieścić plonów nie może, więc ukontentowany bierze się do stoga.

Obyż takich polskich stogów Bóg dał jak najwięcej!...

Dla młodzieży, dla porobków i dziewcząt, to wesele nie lada iść z kosą, z grabiami lub z sierpem na pole, bo to

Śmiechy, ochota,
Choć w słońca skwarze
Ciężka robota.

A pomimo tej ciężkiej roboty, przyśpiewując sobie, wesoło się nawołując, skowronka, przepiórki, i konika polnego słuchając, miło jest myśleć o odpoczynku w niedzielę i znów o wesołej zabawie przed domem, pod lipą. I niech się tam młodzi bawią i weselą, a nam starszym godzi się na to wesele popatrzeć, żartem jakimś zabawę, byle uczciwą, podniecić, a pomodliwszy się, pomyśleć: pracuję, zabiegam, orzę, sieję, a Bóg szczęści, bo

Złote zagony
Zda się kołyszą;
Brzęczą jęczmiony,
Pszenice wiszą;
Więc śpieszyć trzeba,
Po dary Nieba.

Śpieszcie więc, Czytelnicy w pole, po plony a dobre! z Wami zaś przy pracy zawsze będzie nasze serdeczne

„Szczęść Boże!“

„Praca“.

Przestroga.

Pod powyższym nagłówkiem podaje firma **Drwęski & Langner** — Dom Bankowo-komisowy w Poznaniu, — następujący komunikat:

„Przed niedawnym czasem zgłosił się do nas pewien komisyoner z Warszawy o nazwisku polskiem z życzeniem, by mu polecić kilka majątków, gdyż ma kupców Polaków z Kongresówki, którzy właśnie wobec naporu ze strony niemieckiej — pragną się tutaj okupić. Wobec tego oświadczenia poleciliśmy też kilka majątków tak polskich jak i niemieckich. Już po krótkim czasie ów komisyoner z Warszawy doniósł nam, że zleceniodawca jego decyduje się na jeden lub drugi majątek i że już wkrótce przybędzie tu w celu oględzin i ew.

ubicia interesu, który może być załatwionym na krótkiem toporzysku. Na razie podpadło nam, że kupujący wybrał *tylko majątki polskie* i to wcale nie tanie, pomimo, że miał do wyboru i niemieckie majątki, dobrze zagospodarzone i stosunkowo nawet znacznie tańsze. Okoliczności złożyły się tak, że jeden z naszych współpracowników musiał jechać do Warszawy.

Tu skorzystał ze sposobności, dowiadując się tak o komisyonera, jak i o kupującego. Co do pierwszego, którego w Warszawie mało znano, można tylko stwierdzić, że pomimo wybitnie polskiego nazwiska, ów komisyoner jest — *mojżeszowego wyznania*. Czyniąc dalsze kroki w wywiadywaniu się mianowicie o materyalnej i moralnej wartości kupującego, doszła nas wreszcie wiadomość, że aczkolwiek kupujący jest Polakiem i jest jeszcze w posiadaniu średniego majątku w jednej z odległych gubernii, i chociaż małżonka kupującego pochodzi *z pierwszych rodzin Korony*, to kandydat nie daje żadnej gwarancyi ani pod materyalnym, ani też pod moralnym względem, — ażeby majątek w obszarze 2000 do 3000 mórg tu w Księstwie mógł kupić *dla siebie* resp. na swój rachunek. Tu w Poznaniu stwierdzono dalej, że kupujący otacza się figurami podejrzanemi, które już nieraz odznaczyły się tem, że z ich poręki przeszły majątki polskie w ręce komisyi kolonizacyjnej.

Wreszcie po małej próbie — pozostawiając tych panów w mniemaniu, że godzimy się na każdy interes, — panowie ci *przyznali się, że przybyli tu w tym celu, by nabyć majątek jeden lub drugi, a potem — odstąpić go komisyi kolonizacyjnej*.

Ponieważ panowie ci pomimo przestrogi bobrują po Księstwie, przeto podajemy powyższą notatkę do wiadomości ogółu i dla przestrogi interesowanych, — *za co bierzemy na siebie wszelką odpowiedzialność*.

Z wysokim szacunkiem
Drwęski & Langner."

„Rozumny patryotyzm."

Opatrzność dała nam dużo zalet i dobrych przymiotów. Pod jednym tylko względem obeszła się z nami — na pozór — trochę po macoszemu, a mianowicie, w skąpej tylko mierze obdarzyła nas tem, co się powszechnie zowie „rozumem politycznym." Tak przynajmniej twierdzi dużo historyków i narodowych psychologów naszych. I przyznać trzeba, że właśnie warstwy, w których rękach w ostatnich wiekach przed rozbiorem spoczywały losy Ojczyzny naszej, prawdziwego rozumu politycznego mało okazywały. I kto wie, może właśnie dlatego, część potomków tych warstw, o ile ma wpływ na losy nasze, stara się dziś wszystko poddawać względom rozumu i ten rozum — w polityce wynieść niemal na stopień dogmatu narodowego. Widocznie pragnie powetować to, czego przodkom niedostawało.

Pytanie tylko, czy to, co sfery te uważają za rozum polityczny, jest nim rzeczywiście? A na to pytanie odpowiedzieć trzeba przecząco.

Na czem polega dziś bowiem ten ich rzekomy rozum polityczny? Otóż głównie na tłumieniu uczuć narodowych, na krępowaniu serca, na wyziębianiu duszy narodu. Obok tego wprowadzili do naszego życia narodowego, a przynajmniej pragną wprowadzić czynnik nowy, nieznany nam dawniej, sprzeciwiający się nawet szczerej słowiańsko-polskiej naturze naszej: obłudę, udawanie czegoś, czego nie czujemy, czego nam czuć nie wolno.

Czyż taki rozum polityczny jest dobry, czy może przynieść narodowi zbawienie, a przynajmniej chwilowe chociaż korzyści? Bynajmniej!

Narodowość ma to wspólne z religią, że jest wyłącznie niemal rzeczą serca i duszy — a nie rozumu. Gdy w sprawach religijnych damy zanadto folgę rozumowi, dojdziemy do wielu wątpliwości, do niewiary wreszcie. W sprawach narodowych zaś poleganie włącznie *na rozumie* wiedzie do zobojętnienia dla narodowości, do materyalizowania celów narodowych a w końcu do egoizmu osobistego, sprzeciwiającego się wszelkim idealnym obowiązkom i czynom.

Twierdząc to, dalecy jesteśmy od tego, ażeby w sprawach publicznych, narodowych i politycznych uznawać jako jedyny miarodajny czynnik *uczucie*. Tak nie jest! Przyznajemy chętnie, że i uczucie samo bywa nieraz złym doradzcą, że i rozum w takich sprawach ważną odgrywać powinien rolę. Naszem ot zdaniem dopiero rozwaga *idąca w parze z uczuciem* wydaje *prawdziwy* rozum polityczny. Nie należy tedy uczuciami zwalczać rozumu, ani rozumem uczuć, lecz słuchać ich równomiernie. A właśnie tak nie postępują nasi mądrzy politycy, przyznając racyę *jedynie* rozumowi.

Z fałszywego tego rozumu politycznego zrodziło się dużo złego, zrodził się ów nieszczęsny *trójlojalizm*, który dla wątpliwych korzyści chwilowych jednej cząstki narodu a niemniej dla osobistych korzyści pewnych kół tej cząstki zaleca uprawianie tak zwanej polityki ugodowej, przywdziewanie choćby pozornie obcych piórek, zapominając o niepodzielności jednej wspólnej nam Ojczyzny i o jej przyszłości. A przyszłość tę naraża się koniecznie na szwank, jeźli rozbija się a chociażby tylko rozluźnia poczucie najściślejszej jedności i solidarności *wszystkich części* narodu.

Trudno! los rozdarł nas na części i każdą z nich przyłączył do innego państwa. Ponieważ Bóg zezwolił na to za nasze ciężkie grzechy dawniejsze, musimy się z tem liczyć; ale wolno nam liczyć się z tem tylko o tyle, o ile na to zezwala interes *całości* Ojczyzny i narodu naszego. Nie wolno nam ot być w zaborze pruskim Prusakami, w Królestwie Rosyanami, w Galicyi Austryakami

„po polsku mówiącymi", lecz musimy wszędzie być i pozostać na zawsze Polakami, dla których ponad wszelkie względy górować winien interes *całej* Ojczyzny. Rozebrano nas jako Polaków, członków jednego wielkiego narodu, więc też jedynie za *Polaków* uważać nas należy. Jak z tem pogodzić interesy państwowe mocarstw zaborczych, to już nie nasza rzecz, lecz rzecz zaborczych rządów. Wyszłyby one najlepiej na tem, gdyby liczyły się z faktem i pozwalały nam uważać się *tylko* za Polaków. Jeśli na to przystać nie chcą, lecz usiłują gwałtem rozerwać tę jedność, my odwieść ich od tego nie możemy. Następstwa, jakie ztąd wynikną, będą jedynie szkodą dla nich, a nie dla nas.

Podstawą, podwaliną tej naszej jedności są obok zewnętrznych cech narodowości właśnie nasze uczucia narodowe, wzajemna miłość bratnia, naturalny zupełnie instynkt łączności. Te uczucia, ten instynkt, nie mający nic wspólnego z rozumem, sprawiły, że po siedmiowiekowej rozłące znów przyrósł do Macierzy polskiej *Śląsk*, że Polakami pozostali wychodźcy nasi wśród obczyzny, że tem bardziej czują się Polakami, im los dalej oderwie ich od kraju, od swoich. Kto tedy przytłumia te uczucia, każe im zamilknąć wobec chwilowych korzyści — ten pracuje na rzecz wrogów, podkopuje jedność narodu, a tem samem podkopuje lepszą *wspólną* przyszłość jego.

Przytłumianiem uczuć jest zaś, jeżli odbiera im się możność wyrażenia, zaznaczenia się na zewnątrz zwłaszcza w chwilach, gdy są mocno podrażnione wspólnemi jakiemi ciosami. Rozum może je temperować, nie wolno mu jednakże zmuszać je zupełnie do milczenia.

A właśnie do tego dąży rzekomy rozum polityczny pewnych kół wyższych warstw naszych, dopatrując się w każdem wynurzeniu wspólnych nam wszystkim uczuć narodowych — niebezpiecznej, szkodliwej *demonstracyi*. Ten fałszywy *rozum polityczny* wyprawiał prawdziwe orgie w ostatnich tygodniach w *Galicyi*, tam też już *od dawna* wybujał ogromnie. Rządzące się nim sfery milczały wobec mowy malborskiej, milczały w delegacyach wobec różnych krzywd nam wyrządzanych, a i w uczuciowym odruchu całego narodu, w uroczystościach *grunwaldzkich* żadnego nie wzięły udziału. Podobno nawet milcząc zezwoliły na to, że rząd austryacki przyrzekł pomagać Niemcom w rozrywaniu naszej narodowej jedności i solidarności...

A jakiż skutek tego ich rozumu politycznego? Oto przysłowiowa *nędza Galicyi*, której interesy poświęca się stale dla lojalizmu austryackiego i coraz większy *rozbrat między nimi a resztą narodu*, z czego korzysta jedynie — przeciwna ideałom narodowym *socyalna demokracya*.

Z jednej ostateczności wpadamy więc w drugą: o ile dawniej wcale nie mieliśmy rozumu politycznego — o tyle dziś pewne koła wytworzyć pragną wręcz przesadny, fałszywy i szkodliwy.

Zaznaczyliśmy poprzednio, że z tego fałszywego rozumu politycznego wytwarza się także *egoizm osobisty*. Czyż na to potrzeba dowodów? Mamy ich i widzimy codziennie aż nadto. Określił to trafnie wieszcz nasz Adam *Asnyk* w poemacie swym: „Poeci do publiczności", w którym powiada:

„Ten rozum stanu, wynalazek złoty,
„Lepszy niż jaki płaszcz nie przemakalny;
„Pod nim bezpiecznie szydzić można z cnoty
„I podkopywać przesąd idealny;
„Można Ojczyźnie różne czynić psoty,
„I łuk w nagrodę dostać tryumfalny,
„Bo on zasłonić zdoła każdą sprzeczność,
„Wszelki *egoizm*, wszelką niedorzeczność!"

Odbierzcie ludziom wiarę w Boga, religią, a rozbudzą się w nich zaraz instynkty zwierzęce, odbierzcie im uczucia narodowe, a staną się jedynie tłumem, goniącym za własną *materyalną* korzyścią, pozbawionym wszelkiego zapału dla idealnych spraw i celów. Zapał sam nieraz tworzy cuda, rozum bez zapału niczego nie dokaże. **Próżną i daremną będzie wszelka *„cicha i mądra praca"*, zkądinąd bardzo pożyteczna — jeżli nie będzie jej ożywiał zapał idealny, ten wykwit *uczuć* szlachetnych. Na nic się nie przydadzą wszystkie dyplomatyczne sztuczki rozumne, gdy równocześnie dusza i serce narodu obumierać będą w nieprzyjającym im chłodzie. A taki chłód szerzy właśnie wasz *„rozum polityczny"* panowie.**

Z tego rozumu politycznego wyrósł wasz rzekomy *„rozumny patryotyzm."*

„co się zapału i uniesień wstydzi,
„co każdem wzniosłem uczuciem pomiata,
„a wszędzie widzi śmieszności i szydzi...."

Ten wasz „rozumny patryotyzm" nas nie zbawi, lecz nas pogrzebie.

My nie pogardzamy ani cichą rozumną pracą, ani rozumem wogóle, ale niech go krasi zawsze silne, pełne zapału *poczucie narodowe*, niech ten rozum idzie w parze z *uczuciami*, niech w danej chwili nie przeszkadza im silnie i dobitnie ujawnić się na zewnątrz. Bo to rodzi zapał i zapał podnieca a chroni od marazmu szerokie koła. Tylko taki rozum, zgodny z uczuciami zbawić nas może.

Poznańczyk.

Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło — czyli wyrok Wszechniemców o polityce antypolskiej.

W kilku stronach monarchii węgierskiej mieszka spora liczba Niemców, mianowicie w Siedmiogrodzie Sasi, a w tak zw. Banacie Szwabi. Są to potomkowie kolonistów, sprowadzonych przed przeszło dwustu i stu kilkudziesięciu laty z głębi Niemiec, a więc ludność nie tubylczą, lecz napływowa. Z biegiem lat znaczna część tych Niemców przyjęła język i obyczaj węgierski — większość jednakże trzyma się jeszcze wiernie swej narodowości. Nad tem, aby się nie zwęgrzyła czyli zmadziaryzowała — czuwa obecnie bacznie związek wszechniemiecki, łożąc dużo na szkoły i gazety niemieckie dla tych zagrożonych falą madziarską „landsmanów".

Tymczasem w sztuce wynaradawiania innych słabszych liczebnie materyalnie ludów niema *obok Prusaków* większych mistrzów, jak właśnie Madziarzy. Odkąd zwłaszcza Niemcy austryaccy, nie mogąc sobie dać rady ze *wszystkimi* Słowianami, podzielili monarchią austryacką na dwie połowy i część Słowian: Rusinów, Słowaków, Serbów, Chorwatów oddali pod panowanie Węgier, nastały dla tych szczepów słowiańskich okropne czasy, pełne niedoli a nawet męczeństwa. Stare atoli przysłowie: „kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada" — sprawdziło się i w tym wypadku. Madziarzy, upewniwszy swe panowanie, zabrali się teraz także do osiadłych na Węgrzech Niemców i gnębią ich tak samo jak Słowian. Ponieważ zaś propaganda wszechniemiecka, podniecająca opór węgierskich Niemców, krzyżuje zamiary rządu węgierskiego, rząd ten teraz przedewszystkiem zwraca się przeciwko niej i zwalcza ją, podobnie, jak rząd pruski rzekomą propagandę polską.

Tak więc pomiędzy położeniem Niemców na Węgrzech a położeniem ludności polskiej w zaborze pruskim, zachodzi pewna analogia; *pewna* — ale nie zupełna. Niemcy na Węgrzech są tylko ludnością napływową, obcą na ziemi węgierskiej, Polacy w zaborze pruskim ludnością *tubylczą*, mieszkającą na *własnej* ziemi. Jeżeli tedy narodowy ucisk Niemców węgierskich uważa się za gwałt, za bezprawie, to czemże dopiero jest ucisk narodowy Polaków na ich własnej ziemi!! A jednak ci sami Niemcy, którzy ujmują się za swymi braćmi na Węgrzech — pochwalają każdy środek antypolski rządu pruskiego względem Polaków i jeszcze rząd podburzają do coraz zawziętszej germanizacyi.

Przed kilku tygodniami zaszedł na Węgrzech wypadek, jaki u nas należy do zdarzeń niemal codziennych. W mieście *Kikinda* w komitacie szegedyńskim wychodzi dla osiadłych tam Niemców gazeta niemiecka. Redaktor gazety tej, niejaki *Korn*, skazany teraz został za wiersz, w którym wzywał swych rodaków, aby pamiętali zawsze, że są *Niemcami*, aby „sypali groble przeciwko brzydkiej, cuchnącej fali madziaryzmu, która grozi im zalewem," na pół roku więzienia. W wierszu tym mieści się zwrotka tej treści: „*Kto nie szanuje narodowości i nazwiska ojca — ten nie wart miłości, jaką go matka otaczała!*" Jakże to zwrotka ta przypomina nam liczne podobne polskie utwory poetyckie, dziś zakazane! O ile się nie mylimy za wiersz podobnej treści redaktor „*Gazety Opolskiej*," pan Koraszewski, czasu swego także przecierpiał pół roku w więzieniu. To atoli uznano w Niemczech za zupełnie słuszne, co więcej, minister *Rheinbaben* skarzył się nawet w Izbie panów, że niestety niema środków, ażeby zupełnie „*skręcić kark prasie polskiej i polskim redaktorom* za tego rodzaju podburzanie przeciwko Niemcom i niemczyźnie. Tymczasem na wieść, że za to samo — skazano na Węgrzech redaktora Niemca, powstało w całych Niemczech straszne oburzenie i posypały się prawdziwe gromy w prasie niemieckiej. Taka to — niemiecka bezstronność i sprawiedliwość.

Posłuchajmy teraz co o tym wyroku na redaktora niemieckiego pisze austryacka prasa wszechniemiecka, co pisze własna gazeta skazanego redaktora: „*Kikindaner Zeitg.*" *Głosy tych gazet— jakiż to wymowny o miażdżący wprost wyrok na system germanizacyjny w polskich dzielnicach pod rządem pruskim*! Należy tylko wszędzie zamiast niemiecki — wstawić wyraz: *polski* — a zamiast madziarski: *niemiecki*.

Oto co pisze wiedeńska wszechniemiecka „*Ostdeutsche Rundschau*":

„Już z pierwszych lakonicznych doniesień o tym procesie wnosić było można, że zaszedł tu *niezwykle brutalny akt sądownictwa madziarskiego*. To atoli, co o przebiegu rozprawy sądowej donoszą pisma niemieckie na Węgrzech, daje nam *wstrząsający i oburzający* wprost obraz z walki o narodowość niemczyzny na Węgrzech. Sprawą tą zajmować się będzie jeszcze wyższa instancya; jak atoli brzmieć będzie ostateczny wyrok — czy dobrze lub źle — to jedno nie ulega wątpliwości, że ostatnie słowo w tej sprawie wypowiedzieć musi nie sąd węgierski, ale *cały naród niemiecki*. My zwłaszcza, Niemcy w Austryi, nie możemy zezwolić na to, ażeby dwa szczepy niemieckie tuż przed bramami naszemi już to brutalnym gwałtem albo przez formalne hodowanie przekupnych renegatów w ziemię wdeptano".

A jakże to prasa niemiecka trzęsie się ze złości, gdy bracia nasi w Galicyi ujmują się za *nami?*

I szczegóły z rozprawy przeciwko Kornowi — bardzo, bardzo podobne są do objawów, jakie napotykamy u nas w tego rodzaju procesach. Jeźli prasa niemiecka skarży sie, że prokurator nie dawał wiary świadkom *niemieckim*, a opierał się tylko na madziarskich, że odrzucił niemieckich przysięgłych — (na Węgrzech przestępstwa prasowe sądzą sądy przysięgłych) — że antiniemieckie pismo madziarskie „Szeged es Videke" starało się przed procesem wpłynąć na sędziów i rozbudzić w nich szowinizm madziarski — to my na to tylko pokiwać możemy głową i zawołać: „Obłudnicy! A cóż się u nas dzieje?"

Posłuchajmy teraz, jak się Korn bronił: „Wiersz mój, mówił przed sądem, był tylko napomnieniem dla Niemców, aby szanowali czwarte przykazanie: *czcij ojca i matkę swoją!* — że mają szanować narodowość i język swych ojców i dwa te skarby przekazać czyste i nieskalane swym dzieciom. Wyraz „cuchnąca fala" nie oznaczał Madziarów, łecz tych renegatów, odszczepieńców niemieckich, którzy to dla karyery wyrzekli się swej narodowości i własnych braci uważają dziś za wrogów".

Prasa wszechniemiecka uniesiona tą obroną. Gdy atoli tak samo usprawiedliwiają się — polscy redaktorowie — nazywa ich się buntownikami, zdrajcami, ludźmi bez czci i wiary...

Tym renegatom poświęca prasa niemiecka obszerny rozdział w swych rozmyślaniach nad tym procesem. Szczególnie zaś pastwi się nad renegatami *wśród nauczycieli*, porównując ich niemal ze *zbrodniarzami*. Z niezmiernem oburzeniem stwierdzą także, że w tamtejszych szkołach dla Niemców *wykłada się wszystkie przedmioty po madziarsku a języka niemieckiego wcale się nie uczy*. To ***gwałt, to bezprawie, to okrucieństwo!***

Obłudnicy — a cóż się u nas dzieje? Dlaczego to inaczej mówicie i piszecie, gdy taki sam system zaprowadza się w naszych szkołach?

Występowała w tym procesie jako świadek matka Niemka, która z dziećmi rozmawia po madziarsku. To podłość — wołają chórem pisma niemieckie. Gdy atoli matka Polka tak się zapomina, to w ich oczach cnota! Dalej świadczyli przeciwko Kornowi księża niemieccy, dziś zmadziaryzowani. To *łotry, karyerowicze!* Tak samo nauczyciele, którzy wyrzekli się dla karyery narodowości niemieckiej. *Wszech-niemcy sami dziś wydali wyrok na nich.*

Żałujemy, że brak miejsca nie pozwala nam obszerniej porównać sprawy Korna z podobnemi u nas. Ale powyższe szczegóły wystarczają chyba. Przytoczymy tylko jeszcze zdanie, jakie obrońca Korna powiedział przed sądem: „*Czyż można się spodziewać jakiegokolwiek owocu po nauce, udzielanej najmłodszym nawet dzieciom w obcym języku? Przenigdy!*"

Dziatwo polska, biedni Wrześniacy, redaktorzy polscy, którzy cierpicie, jesteście *pomszczeni*! Wiecie teraz, jak się Niemcy zapatrują na wasze rzekome *winy*, gdy chodzi o ich *własną* skórę. To nemezis, jak straszliwszej spodziewać się nie było można.

Ordon.

Z TYGODNIA.

Niby spokój, niby cisza w świecie, a jednak lada przyczyna wywołuje zamieszanie, wrzenie, wzajemną podejrzliwość i niepewność. Dwa miesiące zaledwie od chwili, w której austryacki minister spraw zagranicznych, hr. *Gołuchowski*, roztoczył przed światem prawdziwą sielankę pokojową na tle *trójprzymierza*, a już zrodziły się rozmaite wątpliwości co do faktycznej jego wartości. Sprawiła to podróż króla *włoskiego* do Petersburga, która rzeczywiście w dalszym swym przebiegu obfitowała w objawy, zmuszające wprost do rozmaitych refleksyi. Przyjęcie, jakiego monarcha włoski doznał w Petersburgu, było aż nadto serdeczne. Od razu też zjawiły się pogłoski i przypuszczenia, że po za ucztami i toastami ukrywa się coś więcej, że w poufnych naradach między towarzyszącym królowi ministrem *Prinettim* a hr. *Lambsdorffem* ważne omawiano kwestye, zarówno co do stosunku Włoch do Francyi i Anglii, jak i dotyczące półwyspu bałkańskiego. I tam bowiem Włochy zapragnęły odegrać rolę opatrzności no i w razie likwidacyi państwa tureckiego, zagarnąć co się da, co się nawinie. Król włoski ma zresztą swe osobiste cele i życzenia w tym kierunku. Brat małżonki jego, książe czarnogórski Mirko, ożenił się świeżo z kuzynką Obrenowiczów. Ponieważ zaś król *Aleksander* serbski z małżeństwa swego z głośną Dragą nie spodziewa się potomstwa, więc zarówno w Cetynii jak i w Rzymie uknuto plan, ażeby car raczył nakłonić monarchę serbskiego do ogłoszenia księcia Mirka następcą tronu. Czy car zgodził się na to, nie wiadomo — jednakże to wmięszanie się Włoch do spraw bałkańskich bardzo zaniepokoiło *Austryę*, a więc sprzymierzeńca państwa włoskiego. Dla Austryi bowiem wolna droga nad morze greckie oraz wpływ na stosunki bałkańskie to po prostu kwestya siły zarówno politycznej jak i ekonomicznej, kwestya bytu. Zaraz też udał się hr. *Goluchowski* do Ischlu, gdzie obecnie przebywa cesarz Franciszek Józef, ażeby zaraportować mu o tym podejrzanym zwrocie w polityce sąsiada i sprzymierzeńca. Równocześnie zaszedł fakt, który zdaje się wprost dowodzić, że stosunek pomiędzy Włochami a Austryą jest rzeczywiście naprężony. Oto ambasador austryacki w Petersburgu, baron *Aehrenthal, wyjechał zlamtąd, nie chcąc się spotkać z gośćmi włoskimi.* Tak samo postąpił ambasador austryacki w *Berlinie* wobec za powiedzianej na sierpień wizyty króla włoskiego w stolicy Niemiec. To niemałą wywołało sensacyą. Snują się tedy najrozmaitsze domysły i przypuszczenia, karkołomne nieraz kombinacye, lecz z wszystkich przebija to jedno: co sądzić o wartości trójprzymierza, skoro już w kilka tygodni po jego odnowieniu powstają takie starcia i niesnaski między dwoma należącemi do przymierza tego państwami?

To już również stało się widocznem, że *Włosi* wielką wagę przywięzują do zbliżenia się do Rosyi. Zaraz bowiem nabrali fantazyi i wszędzie wysuwają się naprzód.

To byłaby *najważniejsza* kwestya w polityce ostatnich tygodni i dlatego raz jeszcze obszerniej się o niej rozpisaliśmy. Inną sprawą, która również niemało zainteresowała świat polityczny, była zmiana w gabinecie *angielskim.* Zaledwie zawarto pokój z *Burami* i „pogromca“ ich, jenerał *Kitschener*, wrócił do Anglii, sędziwy prezes ministrów angielskich, lord *Salisbury*, podał się do dymisyi. Właściwie nie było to dla nikogo niespodzianką, zdawna bowiem wiedziano już, że lord *Salisbury* czuje się chorym i znużonym i że pragnie usunąć się w zacisze domowe, że z niecierpliwością oczekuje tylko końca wojny, gdyż rychlej nie wypadało ustąpić temu, pod którego rządami wojna się rozpoczęła. A jednak dużo o tem zapisano papieru. Następcą jego został jego kuzyn i wychowaniec polityczny lord *Balfour.* Ponieważ zaś znany lord *Chamberlain* pozostaje nadal w gabinecie — w polityce angielskiej na razie nic się nie zmieni, wszystko pójdzie zwykłym trybem. Zmiana ta nie podobała się wprawdzie także ministrowi skarbu *Hicks-Bachcowi*, więc również ustąpił ze swego stanowiska, ale i to nie wywrze wpływu na bieg polityki angielskiej. Dążyć ona będzie do światowładztwa tak samo, jak dotychczas aż sobie znów gdziekolwiek palce przyskrzyni.

Nawiasowo nadmieniamy, że król *angielski* do tyle już odzyskał zdrowie, że wyjechał na morze celem dokończenia kuracyi. Koronacya jego ma się odbyć cicho bez pompy pierwotnej dnia 9 sierpnia. Lekarze obawiają się jednakże, że może okaże się potrzeba ponownej operacyi.

Francya obchodziła w dniu 14 lipca, jak corocznie, święto republiki, pamiątkę zdobycia bastylli paryskiej podczas pierwszej rewolucyi. Dzień ten zaznaczył się w tym roku wprost strasznym wypadkiem. Podczas parady wojskowej, jaka odbyła się w pobliżu Paryża, padło na udar słoneczny aż 650 żołnierzy, z których wielu już ocalić nie zdołano. Gdyby to stało się w monarchii jakiej, zaraz by wszyscy liberałowie i republikanie piorunowali na „pompę monarszą“, która dla dogodzenia monarszej próżności naraża na śmierć setki biednych wojaków. Ponieważ atoli w tym wypadku padli ofiarą próżności i pompy *republikańskiej*, skończyło się wszystko na krótkiem ubolewaniu w dziennikach. Tak bywa zawsze. Szkoda, że słońce nie przypiekło tak samo obecnych *ministrów* francuzkich, tym należałaby się kara za niecne ich gwałcenie praw kościoła. Eksksiądz *Combes* rozwiązał dotychczas bezprawnie aż 2000 szkół klasztornych i zakładów miłosierdzia, utrzymywanych przez zakony. W całej Francyi powstało wielkie oburzenie, jest jednakże za słabe, ażeby obalić ten rząd masoński. Będzie on więc broił dalej, aż wreszcie przebierze się miarka cierpliwości Bożej.

Energiczniej daleko zabrali się do walki przeciwko liberalnemu rządowi katolicy *hiszpańscy*, tak energicznie, że aż trochę przeholowali, wskutek czego *biskupi* tamtejsi usunęli się zupełnie od udziału w walce. Na kongresie w *Santiago* da *Campostella* — zażądali bowiem, ażeby całe wychowanie publiczne oddano pod *wyłączną* władzę Kościoła, a nadto zaznaczyli, że Hiszpania posiada jeszcze za *mało zakonów*! Można być dobrym katolikiem, a jednak nie zupełnie podzielać to zdanie. Kościół *musi* mieć wpływ na wychowanie publiczne, jednakże — w państwie katolickiem, nie można znów zupełnie odsuwać rządu od szkólnictwa. Biskupi hiszpańscy również są tego zdania.

W *Austryi* kończą się już także sesye poszczególnych sejmów krajowych. Wkrótce atoli, bo już w wrześniu zbierze się na nowo *parlament austryacki*, aby załatwić sprawę *ugody cłowej z Węgrami.* Przedtem jeszcze czeka prezesa ministrów Koerbera nowy kłopot. Musi oto spełnić życzenia Czechów co do języka urzędowego w Czechach, bez tego bowiem Czesi stawili by trudności ugodzie. Ponieważ jednakże zarówno Czechom jak i Niemcom dużo zależy na tej ugodzie, sądzą powszechnie, że nie będą stawiali zbyt wygórowanych żądań, że powiedzie się rządowi zawrzeć pewne zawieszenie broni.

Ruch *wszechniemiecki* w Austryi upada coraz bardziej. Nawet w *Chebie* (Eger) w Czechach, głównej twierdzy *Schoenererowców*, wyprawiono teraz posłom wszechniemieckim kocią muzykę, kilku z nich zaś poraniono kamieniami. Czyżby i Niemcom w Czechach rozjaśniło się już w głowie, że nie ma co dążyć pod panowanie Berlina, że lepiej pozostać pod berłem Habsburgów? Nie ziwilibyśmy się temu...

W wewnętrznej polityce *Niemiec* również panuje spokój. Hr. *Bülow* kąpie się w Norderney w nurtach morza północnego, a także inni ministrowie używają wczasu. A mają wszelki powód szukać wzmocnienia sił, ponieważ w zimie czekają ich ciężkie walki w sprawie nowej taryfy celnej. Generał huzarski, pełniący obecnie obowiązki ministra rolnictwa pan *Podbielsky*, dał nam już też przysmak tonu, jaki panować będzie w tej walce. Bawiąc na Pomorzu na pewnem zebraniu rolników wygłosił mówkę, w której wyciął rolnikom gorzką reprymendę. Oświadczył im wręcz, że rząd nigdy nie przystanie na żądane przez nich podwyższenie ceł, że mają liczyć tylko na siebie, a nie wołać wciąż: Ratuj! ratuj! Mówka ta dolała oliwy do ognia i zdaje się być rzeczą już zupełnie pewną, iż nowa taryfa cłowa uchwalona *nie zostanie*. A cóż wtedy?

Im bardziej zbliża się termin przybycia *cesarza Wilhelma* do Poznania, tem bardziej wzrasta zaciekawienie, jakie też pobyt monarchy w grodzie Przemysława przyniesie nam niespodzianki? Piszą, że dwór austryacki, którego reprezentować będzie na manewrach arcyksiążę *Franciszek Ferdynand*, zastrzegł się, ażeby w obecności arcyksięcia nie wygłaszano żadnych mów przeciwko Polakom. Czy to prawda, nie wiadomo. Jeżli tak, to „kwestya polska“ wejdzie na tapet zapewne dopiero po jego wyjeździe. Że coś spadnie na nas, to nie ulega wątpliwości. Tylko, że już się *niczego nie obawiamy*. Wsparci widoczną łaską Bożą przetrwać możemy i najsroższe burze. Bóg nas nie opuści, a my sami — *nie damy się!*

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Na łamach wszystkich pism polskich na całym obszarze Ojczyzny naszej dominowało w ubiegłym tygodniu jedno potężne słowo, niby hasło, budzące w nas tysiące wspomnień drogich a także i nadzieję: *Grunwald*. Nawet prasie polskiej w zaborze rosyjskim pozwolono obszernie i ciepło uczcić tę rocznicę — wbrew życzeniom hakaty, aby rząd rosyjski zabronił tego. Nie było więc pisma ni pisemka, któreby na swój sposób nie poświęciło honorowego miejsca ważnej tej pamiątce dziejowej, niektóre wydały nawet piękne numery uroczystościowe z odpowiednemi illustracyami. A we wszystkich jedna i ta sama była myśl przewodnia: „Nie zawsze ot zmiotła nas ręka niemiecka. Były czasy, w których przed potęgą Ojczyzny naszej w proch rozsypywała się złość krzyżactwa niemieckiego. Było to dawno, lecz co było, wrócić się może, chociaż w innej zapewne formie. Nie marzymy już o laurach bojowych, ale wierzymy mocno, że w srogiej walce, jaką staczamy od wieku, a może długo jeszcze staczać będziemy, zwycięztwo pozostanie przy nas, przy *silnym duchu polskim i polskiej kulturze!*“

Wspaniałym był ten odruch obrażonych uczuć narodowych, wspaniałym w swej jednomyślności, w swym zapale i szczerości. Napróżno złość krzyżacka fałszami i oszczerstwami starała się nam zatruć radość wspomnienia tego, napróżno starała się okłamać opinią świata, głosy prasy polskiej znalazły oddźwięk w całym świecie, zwłaszcza zaś — w prasie pokrewnych nam narodów słowiańskich. Silne echo odezwało się w *Czechach*, a i prasa *rosyjska* nie pozostała obojętna. Jeszcze więcej takich zamachów na nasz byt, a kto wie, czy nie spełni się to, o czem dziś jeszcze nawet marzyć nie śmiemy.....

Bądź co bądź, przekonali się Niemcy ponownie, że mają do czynienia nie tylko z kilku milionami Polaków, ujętych w kleszcze germanizacyjnych zakusów, ale z *wielkim* i *całym* narodem, no i z ogromną armią, której imię *Słowiańszczyzna*.

A jednak i ten tydzień pamiętny nie minął bez dysonansu. A dysonansem tym było przypuszczenie, że znów nurtują w społeczeństwie naszem prądy, sprzeciwiające się interesom naszym żywotnym no i godności narodowej, prądy *ugodowe*. Wywołał to przypuszczenie głos sędziwego nestora społeczeństwa naszego, p. Józefa *Morawskiego* z Kotowiecka, głos ostrzegawczy pod adresem kuzyna jego szambelana Morawskiego w Luboni, ażeby zaniechał tajnych układów z ministrami. List ten wywołał prawdziwą sensacyą, tem bardziej, że **„Dziennik Poznański“**, który pierwszy go zamieścił, nie objaśnił ogółu, o co właściwie chodzi. Posypały się więc domysły i przypuszczenia, nie bardzo pochlebne dla pana szambelana, lecz zdaje się — zbyt daleko sięgające. Jeżli bowiem wierzyć można odpowiedzi jego, ogłoszonej również w tymże *„Dzienniku“*, była to tylko prywatna próbka ugodowa — pozbawiona wszelkiego znaczenia. Cieszyć się jednakże należy, że znalazła tak *ogólne* potępienie, bo dla ugodowej polityki niema dziś miejsca w naszem życiu publicznem. Cześć należy się także sędziwemu obywatelowi i głowie rodziny *Morawskich*, że w czas zapobiegł dalszym takim usiłowaniom i dał przykład szlachcie polskiej, jak strzedz winna sławy narodowej i własnej.

B. M.

Sprawy ekonomiczne.

Wynalazki polskie na wystawie lwowskiej.

IV.

Pan dr. *Miziewicz*, kierownik galicyjskiego biura solnego, wystawił machinę do opakowywania „topek“ soli, używaną już w praktyce, i to z wielką korzyścią. Te „topki,“ to specyalność galicyjska. Są to grupy soli w formie doniczki do kwiatów, zbite mocno, o pewnej wadze. Ponieważ w innych dzielnicach nie pojawiają się w handlu, przeto też opis wynalazku pana Miziewicza uważamy w „Pracy“ za zbyteczny.

Więcej zapewne zainteresuje Czytelników kilka wynalazków, wkraczających w dziedzinę *chirurgii*, gdyż mają na celu to, co dla wszystkich najdroższe, utrzymanie zdrowia.

Wymienimy tu nasamprzód *„uniwersalny przyrząd do aseptyki operacyjnej“*, pomysłu dr. *Wątorka*. Dzisiejsza chirurgia dąży wytrwale do tego, aby 1) wszelkie przedmioty, które podczas operacyi mogą zetknąć się z raną, były idealnie *czyste*, czyli „wyjałowione“, 2) aby tę jałowość zachowały aż do zupełnego ukończenia operacyi. Chodzi bowiem o zupełne wykluczenie możliwości zaszczepienia zarazków w ranę z zewnątrz. Cel taki osięga się właściwie tylko w dobrze urządzonych salach operacyjnych, w klinikach. Ponieważ jednakże nie wszyscy chorzy mogą być operowani w klinikach, wielu zaś poddawać się musi operacyi na miejscu wypadku lub w otoczeniu bardzo niestósownem, przeto dawno już silono się na wytworzenie przyborów, któreby zaradzały niedomaganiom w takich razach. Przyrząd dr. *Wątorka* spełnia podobno to zadanie. Przy jego pomocy można o każdej porze, na każdem miejscu, choćby w najuboższej chacie wykonać szybko i pewnie operacyą aseptyczną.

Przyrząd składa się z trzech części, a mianowicie: 1) ze sterylizatora dla wody i dla instrumentów operacyjnych; 2) z desinfektora parowego dla opatrunków, 3) z umywalni i irygatora antyseptycznego. Nadmienić jeszcze wypada, że przyrządy te wykonuje zgrabnie pracownia pana *Bogdanowicza* we Lwowie.

Dr. Józef *Zaniętowski* wystawił szereg pomysłów i przyrządów klinicznych do rozpoznawania chorób przy pomocy elektryczności (elektrodyagnostyki) i do leczenia elektrycznością (elektro-terapeutyki). Pomysły te znane już są lekarzom, odznaczono je nawet medalami na wystawach lekarskich.

Jeszcze coś dla panów gospodarzy. Jest to rzecz niewielka, ale bardzo ważna: *podkowa hygieniczna*, wynalazku p. *Chwaliboga* z *Grojca* w Galicyi. Podkowę tę przymocowuje się do kopyta *bez gwoździ*. Można ją łatwo zdjąć i znów założyć, zamienić na inną, latową i zimową, w razie gołoledzi itp. Umożebnia ona, by koń stał w stajni nie podkuty, wyklucza możliwość zranienia i uszkodzenia kopyta przy kuciu oraz inne — wynikające z złego podkucia cierpienia i składa się z podkowy prasowanej stalowej, pantofla stalowego, wkładki gutaperkowej i klucza do podków nóg tylnych.

Rzeczą bardzo praktyczną do użytku domowego jest zręcznie skombinowany przyrząd w kształcie drabinki do *mycia okien* na zewnątrz pokoju. Przyrząd ten tworzy po zestawieniu rodzaj klatki lub balkonu, zabezpieczającej myjącego od wypadku, a da się zastosować do wszyst-

kich okien. Wynalazcą jest pan Teodor *Eisenbart* ze Lwowa.

Godnemi wyzyskania w praktyce są także wynalazki p. *Alojzego Koniecznego z Jasionowa:* 1) wiatrownica organowa i 2) świder uniwersalny. Pierwszy przyrząd znalazł już zastosowanie przy wielu organach i funkcyonuje dobrze, drugi tak się przedstawia: Używane dotychczas świdry płaskie (Centrumsbohrer) mają tę niedogodność, że trzeba mieć tyle świdrów, ile potrzeba dziur rozmaitej wielkości. Otóż świder pana Koniecznego da się *powiększać i zmniejszać* zawsze o *pół milimetra* za pomocą bocznej śrubki z przesuwaczem, a nadaje się do zastósowania zarówno przy korbie ręcznej, jak i maszynowej. Z wynalazku tego korzystać mogą mianowicie organmistrze, dla nich też głównie skonstruował go pan Konieczny, który sam jest organmistrzem. Niestety, i jemu brak funduszy przeszkadza w należytem wyzyskaniu tych wynalazków.

Oryginalnością swą i rozmiarami zwracał na siebie uwagę model wieży ratunkowej dla straży pożarnych, pomysłu p. *K. Trzecieskiego.*

Dobiegliśmy do końca, nie czasem, iżbyśmy już wyczerpali wszystko, co mieściło się w tym dziale wystawy politechnicznej, ale z tej przyczyny, że inne możeby nie zainteresowały Czytelników, jako czysto fachowe. A jest ich jeszcze niemało z rozmaitych dziedzin.

I to, cośmy przytoczyli i opisali, dowodzi chyba wymownie, że i w dziedzinie pomysłowości technicznej nie braknie nam zdolności. Dużo też stworzyć moglibyśmy o własnych siłach, nietylko miliony *zatrzymać* w kraju, ale nadto *ściągać nowe z zagranicy*, gdyby ogół nasz raz wreszcie otrząsł się z swej apatyi, z swego bałwochwalstwa dla wszystkiego co obce, a nauczył się cenić i wyzyskiwać, co własne. Do tego niestety daleko nam jeszcze! Jak mało się interesujemy wynalazkami swojskiemi, na to najlepszym dowodem fakt, że z prasy w Królestwie żadne, o ile nam wiadomo, pismo nie podało sprawozdań z tego działu wystawy, a z pism w zaborze pruskim *jedyna* tylko „Praca." A w *Galicyi?* I tu możeby tak było, gdyby nie pan inżynier *Libański*, który przynajmniej w kilku pismach zainteresował ogół *polskiemi* wynalazkami. Czy zainteresował? nie wiemy, w każdym razie starał się zainteresować, i to mianowicie tych, którzy posiadając kapitały, mogliby, gdyby tylko chcieli, popieraniem wynalazków swojskich krajowi ogromne przynieść korzyści.

Sądzimy, że Czytelnicy „Pracy" również się zainteresowali krótkiemi sprawozdaniami naszemi o tych owocach polskiej pomysłowości. O ile to w ich siłach i mocy niechże przyczyniają się dla dobra sprawy popieraniem zdolnych fachowców naszych. Dowiedli przecież, że zdolności im nie braknie.

Wystawa już zamknięta. Przy dźwiękach *„Jeszcze Polska nie zginęła"* zamknięto jej podwoje. Nie zginie też Polska nasza, gdy nauczymy się szanować i popierać co *swoje*, gdy przestaniemy dobrowolnie i bez potrzeby zapełniać *obce kieszenie.*

Specyalny.

Kronika.

Przed rokiem mniej więcej rozpisywały polakożercze gazety z szczególną rozkoszą, że w pewnem mieście galicyjskiem burmistrz używał do wymuszenia zeznań na zbrodniarzach, przyrządów torturowych. Już wtedy sparzyli się owi pismacy w swoim antypolskim szale, gdyż wykazało się, że ów władzca miejski był *niemieckiego* pochodzenia i nazwiska. Teraz warto uprzytomnić tym niegodziwym szczuwaczom rozprawę sądową, która się rozegrała przed kilku dniami w Berlinie, a wobec której owe „tortury galicyjskie", o jakich trąbiono niby to w szlachetnem ludzkiem oburzeniu, są jakby igraszką.

Przed trybunałem karnym stanęło małżeństwo nazwiskiem Köpp. On, Fryderyk z imienia, był dotąd nauczycielem w szkole miejskiej; ona Eliza jest drugą jego żoną. Z pierwszego małżeństwa pozostało dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka — na pastwie brutalności macochy i rodzonego ojca.

Traktowanie dzieci urąga wszelkiemu opisowi, a tem bardziej oburza, że—podług zeznań świadków — tak chłopiec jak dziewczynka za życia swej rodzonej matki były wzorowemi dziećmi. Katowanie straszne, bezlitośne, nieludzkie było na porządku dziennym po kilka razy, a tak groźne pozostawiało ślady, iż sąsiedzi ostatecznie wystąpić musieli w obronie biednych ofiar i oskarżyć rodziców.

W toku rozpraw sądowych wykazało się, iż Köppowa wymyślała ustawicznie jakieś wykroczenia dzieci, ażeby mieć tytuł do chłost i męczarń barbarzyńskich. Dzieci niewinne, to coś niby ukradły, to skłamały, to wrzeszcie się spsociły lub zgrzeszyły nieposłuszeństwem. Po tych wymyślonych obwinieniach następowały katusze.

Ojciec czuły sprawił na ten cel ostry, dębowy lineał, którym na każdą skargę matki bił dzieci, co sił starczyło, po głowie; do więzienia stałego przeznaczył osobną izdebkę, krew plużąca ze słabych ciałek nie wzruszała jego twardego serca.

Jeszcze gorszą była macocha. Jak w średniowiecznej inkwizycyi, tak długo pastwiła się nad dziećmi, aż w końcu z bólu chcąc się od chłosty wyswobodzić, przyznawały się do winy, której się nie dopuściły. Jako znamienny dla tej potwornej matki szczegół warto z długiego szeregu barbarzyństw przytoczyć, że przywięzywała dziewczynkę lewą do lewej, prawą do prawej nogi krzesła, ręce zaś do tyłu i tak skrępowaną dręczyła całemi godzinami. Inny szczegół, ze względów przyzwoitości nie jest do opisania. Pod obsłoną tylko napomknąć można, że z kału kazała wyszukiwać ziarnka kaszy dziewczynce, że następnie z tej kaszy ugotowała zupę i kazała jej spożyć. Gdy zaś biedna ofiara wzbraniała się z obrzydzania przyjąć pokarm taki, wtedy jej przemocą wciskała łyżkę do ust i zniewalała do połykania. Tego rodzaju mąk, które już prawie o zupełnie zwierzęcych świadczą instynktach, wykazało się podczas terminu mnóstwo; mimo to jednak sąd przyznawszy oskarżonym łagodzące okoliczności, skazał wyrodnego ojca na trzymiesięczne więzienie, a jego żonę na rok i trzy miesiące kaźni przy natychmiastowem aresztowaniu.

Mimowoli przypominają nam się przytem wyroki surowe, jakie zapadły w Gnieźnie na matki i ojców wrzesińskich nie za to, że katowali swe dzieci, lecz za to, że przeciwko chłostom żywy protest podnieśli. Czyliż można porównać te dwie kategorye rodziców? A czy wymiar kary odpowiada winom, podług iście ludzkich pojęć?

A jakże przedstawiają nam się w obec tego kary, które się posypały na młodzież naszą? Ileż to nieszczęścia z powodu gorącego do ojczystych, narodowych, szlachetnych spraw zapału?

Pewna część uchyliła się od kary a za to puszczono za nimi listy gończe. Już nie mogą wracać w rodzinne strony. Zdala od rodziny, od swoich najbliższych muszą dobijać się stanowiska i chleba. Gdy się zestawi poszczególne te fakty, to jakież fatalne widać piętno na naszych stosunkach?!

A gdy powrócimy do pierwszego ustępu, jakim rozpoczęliśmy kronikę naszą, gdy sobie uprzytomnimy tę dziwną manią pruską zohydzania Polaków, a przymrużania oczu na własny paskud — to trudno się wstrzymać od ubolewania nad upadkiem pojęć w społeczeństwie niemieckiem.

I przypominają nam się owe krzyki i wrzaski z powodu zachwiania się galicyjskiej kasy oszczędności, które niczem było w porównaniu z oszustwami i bankructwami banków niemieckich.

W zeszłym tygodniu właśnie zakończył się po 8 tygodniow. rozprawach proces przeciwko głównym sprawcom ruiny banku lipskiego, sprawcom wielu klęsk, nieszczęść, a nawet tragicznego zgonu jednostek dotkniętych. Głównego winowajcę Edwarda Sandena zasądzono na 6 lat więzienia i 15000 mk. kary pieniężnej, sześciu innych na 9 miesięcy aż do $1^1/_4$ roku więzienia. Postępowanie dowodowe wykazało bezgraniczną lekkomyślność, niesumienność i nieprawość podsądnych; matactw i kłamstw w bankowych operacyach i ustawianiu bilansów było co nie miara, a cała gospodarka bankowa o wiele trafniej mogłaby stać się przysłowioną, niźli owa „polnische Wirthschaft", zastósowana przez Niemców złośliwie do galicyjskiej kasy oszczędności. Tak Pan Bóg karze pychę i zarozumiałość pruską — tak upokarza chełpliwość i czczą samochwałę.

Ta wstrętnie... pachnąca pycha i buta wygania teraz z Prus a szczególnie ze stolicy pruskiej coraz więcej jednostek polskich. Niedawno zapisać wypadło, że Kossak pożegnał na zawsze mury berlińskie, obecnie zaś donoszą gazety, że za duszno w atmosferze szlachecko- pruskiej, podobno już nawet ks. Antoniemu Radziwiłłowi. Słychać, że wraz z synem Stanisławem, którego na wyraźny rozkaz cesarza wyłączono z ciała oficerskiego, zamyśla się na stałą rezydencyą przenieść do Poznania. Byłby doprawdy czas wielki, ażeby wszyscy magnaci polscy przypomnieli sobie obowiązki względem ojczystej ziemi i na niej spożywali te dochody, które też z czysta ziemia im daje.

Alius.

Dział illustrowany.

Szczęść Boże!



ŻNIWO.

Pobielałe na skwarze,
Niby przędza na rosie,
Gwarzą niwy — ku ziemi
Kłos zwieszając przy kłosie.

Całe w słońca pozłocie,
Jak te chmurki pod niebem,
Od uwrocia w uwrocie
Płyną ziarnem i chlebem!

Zagonami szmer idzie,
Niby wietrzyk w sitowiu;
Nad bruzdami sierp błyska,
Jak miesiączek na nowiu!

To zaświeci półkolem,
To znów w gąszczu zapada...
„Dana-ż moja! oj dana!"
Nuci żeńców gromada.

Przodownica na przedzie,
Za nią inni tną sznurem,
Nad żeńcami polowy
Z leszczynowym kosturem.

Stoi ciągiem, a huka,
Choć południe się zbliża:
„Dalej! zachodź! a żywo!
Nie prostujta wciąż krzyża!"

Stojakowi rzec łatwo,
Niby czapla na bagnie,
Stoi tylko i patrzy,
A sam grzbietu nie nagnie!

„Dana-ż moja! oj dana!"
Choć pot czoło zalewa
Dzwonią sierpy zagonem —
Garść za garścią ubywa!

Od uwrocia w uwrocie
Leżą kłosy pokotem,
Snop na snopie, jak nabił!
Pod słoneczkiem, pod złotem!

Będziesz chleba! oj będzie!
To się dziedzic pokrzepi,
Z morga jakie sześć wozów...
Albo może i lepiej.

Byle zabrać z pogodą —
Co Pan Jezus zarodził —
Do „nowego" na młóckę
Człek do dworu by chodził.

„Dana-ż moja! oj dana!"
Słonko skręca za lasem...
„Dożynajta! a żywo!
Bo już wieczór za pasem!

Uwijajta dziewuchy,
To wyżynek nie minie."
Dzwonią sierpy zagonem,
Po ściernisku pieśń płynie!

Płynie piosnka ścierniskiem
Co jak plaster lśni woszczyn —
„Dana-ż moja! oj dana!"
Leci echem do wioszczyn!

Kazimierz Laskowski.



Przedstawiciele Kółek rolniczych
w W. Ks. Poznańskiem.
(Do illustracyi albumowej.)

Corocznie zazwyczaj w marcu odbywają się w grodzie naszym na wielkiej sali Bazarowej walne zebrania prezesów i delegatów Kółek rolniczych włościańskich, na które bardzo licznie zjeżdżają się z blizka i z daleka członkowie Kółek, mianowicie włościanie.

Włościanie nasi, to potęga ludu polskiego; bronią oni żelazną, wytrwałą pracą ziemi ojczystej, a nawet wykupują znów z rąk obcych to, co zaprzepaściła nieopatrzność starszej braci.

I chociażby nawet stokroć gorsze jeszcze gromy biły w nasz naród, chociażby serca nasze krwawszym jeszcze bólem drgały — nową pociechę i niezłomną otuchę wlać by w nie musiał.... ostatni rocznik czyli sprawozdanie Patronatu Kółek. Przynosi on nam wieści tak miłe, tak pomyślne — że usuwać muszą wszelką trwogę — wszelkie zwątpienie. Dowiadujemy się z niego, że wśród tej wielkiej naszej rzeszy wieśniaczej panuje ruch i życie i zapał — na jakie zdobyć się może jedynie społeczność w całej pełni sił żywotnych.

Bywały u nas instytucye — wielkie i pożyteczne, które stały i istniały tylko osobą swego założyciela i kierownika. Gdy tedy z pola pracy nad Kółkami ustępował z powodu lat podeszłych niestrudzony ich opiekun, pan *Maksymilian Jackowski* — nie brakło głosów, zdradzających obawę — ażali wspaniałe dzieło jego zdoła przetrwać tę wielką stratę, ażali nie zakradną się do wnętrza jego zarazki rozstroju, lenistwa, marazmu. Otóż ostatnie sprawozdanie kłam zadaje tym głosom. Okazuje się z niego, że dzieło pierwszego Patrona, jest dziełem trwałem i żywotnem — a co jeszcze pomyślniejsze, że nowy Patron, pan *Józef Chłapowski*, godnie dalej kierować niem umie, że stać się może dla Kółek takim samym mężem opatrznościowym, jakim był ozdobiony dziś najzaszczytniejszym wieńcem zasługi obywatelskiej — pierwszy ich opiekun.

Przypatrzmy się ot kilku chociaż liczbom sprawozdania tego. I tak liczba Kółek wzrosła o 15 — z 215 na 230. Nowy ruch, nowe życie zapanowało mianowicie na kresach, gdzie dla braku większej własności i inteligencyi polskiej praca organiczna na rozliczne napotyka przeszkody.

W powiecie *babimojsko-międzyrzeckim* np. gdzie istniały dawniej tylko 4 Kółka — jest ich dzisiaj już 9 — a wszystkie dzięki gorliwej pieczy młodego ks. *Marcelego Czarneckiego* pracują znakomicie. Na rok bieżący zaś zabiera się nowy pan Patron do podobnej kampanii organizacyjnej na Krajnie i w powiecie bydgoskim.

Te 230 Kółek liczą razem 9.000 członków — potężny zastęp światłych i rządnych obywateli kraju. Miejmy nadzieję, że i ta liczba z każdym rokiem znacznie się wzmagać będzie.

Walnych zebrań powiatowych odbyło się w roku ubiegłym 22 z liczbą uczestników, dochodzących do 4 tysięcy; a zwykłych zebrań miesięcznych aż *1,800!* Na tych zebraniach wygłoszono razem *5466* referatów i odczytów — a co najważniejsza, znaczny ich procent stanowią już odczyty i referaty włościan samych.

Podnosi się więc wiedza a wraz z nią dobrobyt i pewność siebie włościan naszych — nie braknie im zaś poparcia ze strony „wyższych" stanów.

„Przeszłoroczna moja gorąca odezwa do młodzieży obywatelskiej i do młodych duchownych — pisze pan Patron — nie pozostała bez skutku. Przeciwnie rezultat prześcignął moje najśmielsze oczekiwania. Całe grono młodych, gorliwych ludzi wstąpiło w szeregi pracowników Kółek, jako wicepatronowie i prezesi. Cześć takiej młodzieży!!"

Tak tedy nie ma obawy o dzieło Jackowskiego — gdyż i pod nowym Patronem rozwija się pomyślnie. Przyrzeczenie, jakie dał obejmując rządy po p. Jackowskim, iż całą duszą poświęci się trudnemu zadaniu — nie było czczym frazesem. Spełnia on przyrzeczenie swe gorliwiej, niż wolno to nawet wymagać. Czołem przed taką pracą, przed takiem pojmowaniem obowiązków obywatelskich!

Illustracya nasza albumowa przedstawia zbiorową grupę przedstawicieli Kółek rolniczych, odfotografowanych przez „Atelier Rubens" w Poznaniu w roku 1901 po co tylko odbytem walnem zebraniu.

Na czele grupy siedzi sędziwy Patron, p. Maksymilian Jackowski, w otoczeniu zasłużonych prezesów i opiekunów Kółek; między innymi widzimy siedzącego obok p. Jackowskiego p. dra. Szułdrzyńskiego z Lubasza, a tuż za nim stojącego nowego Patrona Kółek, p. Józefa Chłapowskiego.

— ski.

Sielanka.

I.

Dzwonią białych owiec trzody,
Za górami gaśnie zorza...
— „Hej, pasterko moja hoża,
Białe owce gnaj do wody!"

Huka zdala pasterz młody,
A głos płynie przez bezdroża —
Dzwonią białych owiec trzody,
Za górami gaśnie zorza...

Pachną ziół skoszonych miody,
Na dolinach szumią zboża,
Jak zwełniona fala morza...
Smugą pełznie dym z zagrody,
Dzwonią białych owiec trzody...

II.

Stary gazda rozwarł wrota:
Turlikają dzwonki z gór,
A fujarka gra im wtór,
Hen — po reglach — mgła się mota...

— „Nie uchybi — będzie psota!"
Idzie percią owiec sznur,
Stary gazda rozwarł wrota,
Turlikają dzwonki z gór...

A w fujarce łka tęsknota,
Kosodrzewin szumi chór,
Zorza dzierga brzeżki chmur
W szlak z purpury i ze złota —
Stary gazda rozwarł wrota...

III.

— „Gdzie najbielsza owca z stada?
Obłąkała się na hali?
Juhasowi Hanuś rada,
Może razem pozostali?"

Przed szałasem baca siada,
Jałowcowy ogień pali...
— „Gdzie najbielsza owca z stada —
Obłąkała się na hali?"

Cicho srebrna noc zapada
— „Dał jej wczora sznur korali..."
Hej! fujarka gra w oddali,
Strumień szemrze coś i gada — —
— „Gdzie najbielsza owca z stada?"

Zdzisław Dębicki.

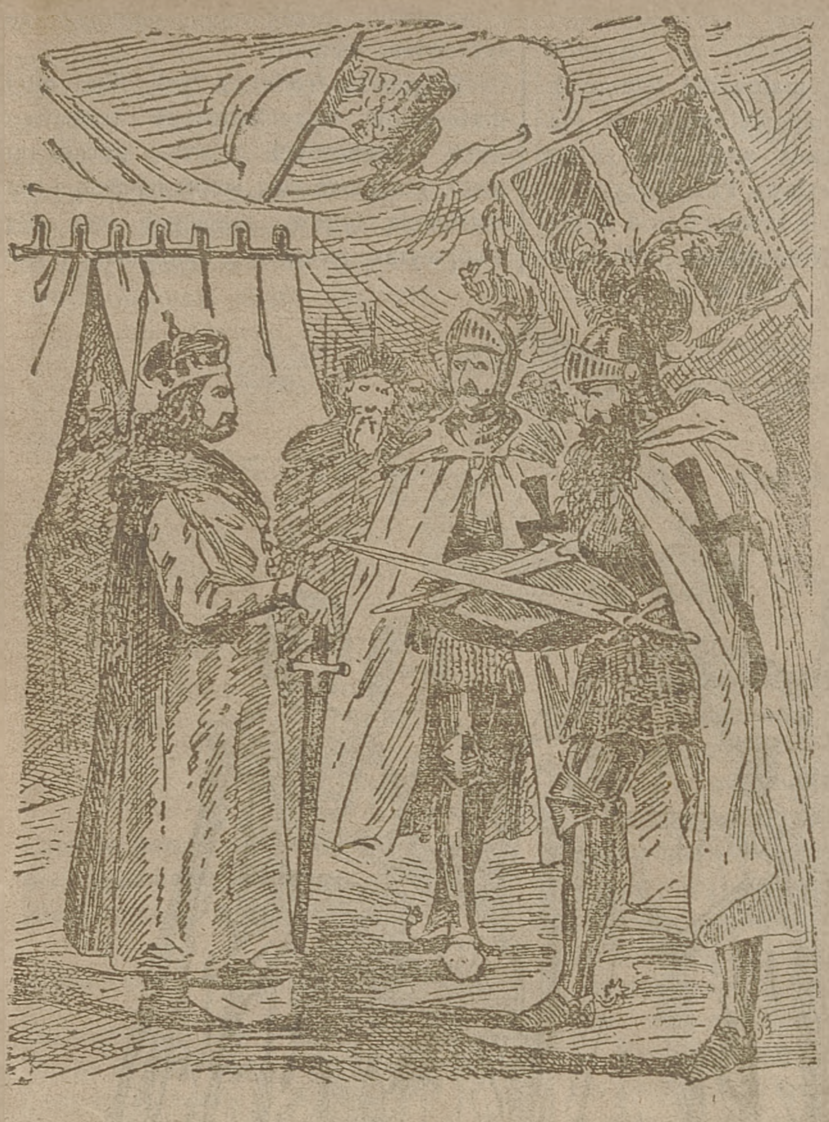
Pycha przed pogromem.
(Do illustracyi).

Tuż przed bitwą grunwaldzką, pyszne krzyżactwo, dufne w swoją potęgę i pewne zwycięztwa — zdobyło się na krok zgoła nie rycerski, a nawet wprost ubliżający honorowi Zakonu.

Oto chcieli sobie Krzyżacy zadrwić z króla Jagiełły i w tym celu posłali mu heroldów z dwoma mieczami, niby dla wzmocnienia sił polskich, które sobie tak bardzo lekceważyli.

Król przyjął z pogardą ten wybryk krzyżackiego humoru, a wkrótce najlepiej nań odpowiedział zdruzgotaniem pyszałków.

Scenę tę, którą właśnie przedstawia nasza rycina, tak opisuje Henryk Sien-



Posłowie krzyżaccy przed królem Jagiełłą.

kiewicz we wspaniałem swem dziele „Krzyżacy":

„Król zjechał właśnie z nadbrzeża jeziora i udał się na lewe skrzydło do polskich chorągwi, gdzie miał pasować całą gromadę rycerzy, gdy nagle dano mu znać, że dwóch heroldów zjeżdża od krzyżackiego wojska.

Serce Władysława zabiło nadzieją.

— Nuże ze sprawiedliwym pokojem jadą?

— Daj Bóg! odrzekli duchowni.

Król posłał Witołda, a tymczasem heroldowie nie spiesząc się, zbliżali się do obozu. W jasnem świetle słońca widziano ich doskonale podjeżdżających na ogromnych, pokrytych kropieżcami koniach bojowych; jeden miał na tarczy cesarskiego orła na złotem polu — drugi, który był heroldem księcia szczecińskiego, gryfa na białem polu.

Szeregi rozstąpiły się przed nimi, oni zaś zsiadłszy z koni, stanęli po chwili przed wielkim królem, i ukłoniwszy nieco głowy dla okazania mu czci, odprawili swoje poselstwo:

— Mistrz Ulrych — rzekł pierwszy herold — wyzywa twój majestat, panie, i księcia Witołda na bitwę śmiertelną i aby męstwo wasze, którego wam brakuje, podniecić, śle wam te dwa nagie miecze.

To rzekłszy, złożył miecze u stóp królewskich; Jaśko Mążyk z Dąbrowy przełożył jego słowa królowi — ale ledwo skończył, wysunął się drugi herold z gryfem na tarczy i tak przemówił:

— Mistrz Ulrych kazał też wam oznajmić, panie, iż jeśli skąpo wam pola do bitwy, to się z wojskami wam ustąpi, abyście nie gnuśnieli w tych zaroślach.

Jaśko Mążyk znów przełożył jego słowa i nastała cisza — tylko w orszaku królewskim rycerze poczęli zgrzytać zębami na takie zuchwalstwo i zniewagę.

Ostatnie nadzieje Jagiełły rozwiały się jak dym. Spodziewał się poselstwa zgody i spokoju, a tymczasem było to poselstwo pychy i wojny.



Ulrich von Jungingen, wielki mistrz krzyżacki.

Więc wzniósłszy załzawione oczy do góry, tak rzekł:

Mieczów ci u nas dostatek, ale i te przyjmuję jako wróżbę zwycięztwa, którą mi sam Bóg przez wasze ręce zsyła. Ale pole bitwy On także wyznaczy. Do którego sprawiedliwości ninie się odwołuję, skargę na moje krzywdy zanosząc, amen.

I dwie łzy spłynęły mu po ogorzałych policzkach.

Tymczasem głosy rycerskie w orszaku poczęły wołać:

— Cofają się Niemcy — dają pole!

Heroldowie odeszli, i po chwili widziano ich znowu jadących pod górę na swych ogromnych koniach, błyszczących w świetle słonecznem od jedwabiów, które po wierzchu zbroi nosili.



Witold, książę Litewski.

Rozłączenie.

Rozłączeni — lecz jedno o drugiem pamięta:
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zam-
[knięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bólu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska,
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I łzą różową leje i skrą siną błyska.

A choć mi ciebie teraz oczyma nie dostać,
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakiemi drzewy szukać białej szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem i promienić świtem
Nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć
Pod oknami i nazwać jeziora błękitem.

Potem jezioro z niebem dzielić na połowę,
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał sza-
[firem;
Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wień-
[czyć głowę,
Jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem.
Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę stróża,
Nie wiesz, że gdzieś daleko aż u gór podnóża,
Za jeziorem, dojrzałem dwa z okien światełka.

Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy je-
[ziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba
[krwawsze,
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świecą — smutno i blado — lecz
[zawsze...

A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem,
Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem

Jul. Słowacki.

Ubiory w Polsce

(Od roku 1200 do 1795.*)

(Do illustracyi.)

Wielki nasz mistrz Matejko, nietylko na polu sztuki pozostawił po sobie wspaniałą, pełną wiecznej trwałości spuściznę, przedstawiwszy najwybitniejsze lub przełomowe chwile z naszej historycznej przeszłości; i na polu archeologii oraz sfragistyki należy mu się niezapomniane imię. Już sama myśl przedstawienia z sześciu wieków wszelkich zabytków z ubioroznawstwa i dokumentów dziejowych, jakich pieczęcie dostarczyć mogą, jest zamysłem śmiałym, godnym takiego, jak Matejko, olbrzyma. Że twórca „Bitwy pod Grunwaldem“ był nad wyraz pracowity, że żył pracą i co najmniej $^3/_4$ swego istnienia jej poświęcił o tem wszyscy wiemy. Tymbardziej też nas zadziwia nowy dowód tej pracy, po części różny od tej sfery, w której kąpał swego ducha i tworzył swe arcydzieła ów mistrz nad mistrze. Rozpatrując się w wydanem dziele Matejki o ubiorach w Polsce, używanych w ciągu pięciu wieków, mającem tę zaletę, że wydanem zostało w jednym zeszycie, że więc całość ogarnąć możemy, przedewszystkiem uderza nas rozmaitość źródeł z jakich czerpał Matejko, aby swój zbiór skompletować i wydrzeć przeszłości to, co niezadługo może ulegnie niepamięci lub zginie w chaosie dzisiejszego życia, tak szybko zacierającym przedwiekowe zabytki. Ile trzeba było podjąć pracy, ile poczynić poszukiwań, a ztąd stracić czasu, ile starań łożyć, aby przedewszystkiem zbadać autentyczność i ustalić epokę odtworzyć się mającego przedmiotu, kostyumu, pieczęci, dokumentu i t. d., przekonać nas może proste wyliczenie źródeł, jakiemi się posiłkował Matejko. Z czegóż bo ten pracowity jak mrówka człowiek nie korzystał? korzystał z pieczęci, z dzieł współczesnych w danej epoce, ze zbroi współczesnych, z grobowców, z czar, puharów lub kielichów, z legend opisujących ubiory, z rękopisów, z pomników, z ksiąg i rysunków genealogicznych, z dzieł radzieckich, z drzeworytów współczesnych po najrozmaitszych dziełach rozrzuconych, z medali, portretów, z malowideł w krużgankach u Benedyktynów, Dominikanów i Franciszkanów w Krakowie, z kroniki czeskiej Polkany, z Erazma Ciołka Koronacyi Aleksandra Jagiellończyka, ze statutu Łaskiego, z pierścieni i sygnetów, z Długoszowych relacyi, wreszcie z Wzorów sztuki średniowiecznej Przeździeckiego, nadto z rzeźb różnych, ze sztychów i najrozmaitszych malowideł ściennych. Szkoda wielka, niepowetowana, że Matejce nie były znane wspaniałe zbiory sfragistyczne Bolesława Podczaszyńskiego, nie mające sobie równych pod względem wartości. Niewątpliwie, Matejko i wszelkich przejawach, dających się rysunkiem wyrazić.

Z tych to źródeł, z tych olbrzymich materyałów wszechstronnie rozpatrzonych i ocenionych powstał poczet postaci, który nas swą wzorzystością i rozmaitością typów, mających swą siłę, swój wyraz, swą duszę, zdumiewa. (Patrz



Rodzina Jana III Sobieskiego według portretu znajdującego się w Monachium. Jakób Sobieski, Jan III, Teresa Sobieska, Aleksander Sobieski, Marya Kazimiera.

byłby z cennych tych zbiorów zrobił odpowiedni użytek i utrwalił je swym ołówkiem, udostępniając ogółowi możność korzystania z nich. Niestety, zbiory te od lat wielu znajdujące się w Petersburgu, nie były Matejce dostępne.

Ten ogrom źródeł, których nasz mistrz tak skrzętnie poszukiwał, był jednak niezbędnym, aby sprostać tak obszernemu zadaniu, jakiem jest przedstawienie kostyumów i ubiorów wszystkich warstw społecznych, urzędów, bractw, cechów i t. d. i t. d., w ciągu sześciu wieków, aby zaznaczyć wszystkie ich przemiany, którym ulegały, nadając każdej epoce właściwe piętno i właściwy charakter. Przy pomocy takich to źródeł i przy takiem znawstwie minionych wieków, w czem celował Matejko, dało się rozwiązać to trudne zadanie i przedstawić zamierzchłe wieki w ich ówczesnej formie zewnętrznej ilustracye). Idąc kartą za kartą koleją wieków stają przed nami te postacie, stanowiąc niby wspaniały korowód, co od początkowych lat każdego wieku ród swój wywodzą i kroczą z powagą, dopóki im kończące się stulecie kresu nie naznaczy. Tak przed nami wiek za wiekiem się przewija, a w każdym z nich mistrz stawia nam przed oczy: króla, królową i dwór królewski, duchowieństwo z jego hierarchicznym układem, magnatów, rycerstwo, uczonych ziemian, mieszczan, niewiasty polskie, zakony, cechy, szlachtę, bractwa, włościan, krzyżaków, trefnisiów, czyli błaznów, żydów, drabów miejskich, woźnych ratuszowych, podróżnych, trębaczy, giermków, muszkieterów, hajduków, halabardników, kupców, muzykantów, strzelców z samopałami, drukarzy, lisowczyków, husaryę, króla kurkowego, wreszcie katów i t. z. ceklarzy, a prócz tego szereg pieczęci z najdawniejszych czasów. Wszystkie

---

*) Pod tym tytułem wyszło dzieło Jana Matejki w wydaniu Zakładu Fotochemicznego B. Wierzbickiego i Sp. w Warszawie.

te każdowieczne postacie stworzyły wspaniałą kohortę, liczącą razem przeszło 700 osób. Nie ulega wątpliwości, że gdyby dzieło to było kolorowane, zyskałoby nie mało na wartości, bo dla ogółu istniałaby możność lepszego uwyraźnienia sobie każdej epoki, niż obecnie, gdy mamy całość rysowaną tylko jednym kolorem to jest czarnym.

Z.

Terkotka.

Biedaż moja z tą ciotką!
Przezwała mnie terkotką,
Jeszcze mi zawiąże świat,
A mam już piętnaście lat!

Taka plotka z poddasza
Kawalerów wystrasza,
A kawaler ślizka rzecz,
Zaglądnie i pójdzie precz!

Otóż to pora i niezła pobudka,
Wstanę od krosienek, zbiegnę do ogródka,
Niech kukułka powie, czy przy tym na-
[rowie
Prędko pójdę za mąż — tak, tak!

Ile więc razy kukułeczka kuknie,
To za wiosen tyle wezmę ślubną suknię;
Lecz nim zacznie kukać, trzeba ją wy-
[szukać...
O Jezu najsłodszy! — jest ptak!

Gadajże mi — kuku!
Króciusieńko — kuku!
Już mam dosyć — kuku!
Kukuleńko — kuku!

To ptaszysko — kuku!
W uszach wierci — kuku!
Krzycz że sobie — kuku!
Aż do śmierci! — kuku!

Otóż im na złość pójdę za mąż prędko,
Złapię sobie chłopca siatką albo wędką;
Na ptaka konfuzyę wezmę wielką fuzyę
I wymierzę w ptaka — tak, tak!

Pani zaś ciotka na wstyd i na karę:
Na mojem weselu pójdzie w pierwszą
[parę —
Toż będę chichotać, toż będę terkotać,
Żem już swoją panią — na znak!

Kornel Ujejski.

Z tajemnic świata zagrobowego.

V.

W archiwum państwowem w Sztokholmie znajdujemy opis wypadku tem dziwniejszego, że zdarzył się on w dzień, a potwierdzony został przez wielu wiarogodnych świadków.

Kiedy Ulryka, królowa szwedzka, w czasie pobytu w Ludwigsburgu umarła, ciało jej, według przyjętego zwyczaju, wystawione było na widok publiczny w otwartej trumnie, w pokoju kirem obitym i oświetlonym świecami woskowemi, na wyniosłym katafalku; oddział gwardyi królewskiej pełnił straż honorową w przedpokoju. Po południu, pierwsza dama pałacowa i ulubienica królowej, hrabina Steenbok, przybywszy ze Sztokholmu, stawiła się w przedpokoju, naczelnik straży spotkał ją, zaprowadził do pokoju żałobnego i tam pozostawił. Głębokie milczenie hrabiny przez czas dłuższy w pokoju zmarłej, przypisywano wielkiej jej boleści; oficerowie straży przez pewien czas nie zaglądali do sali, aby obecnością nie pszeszkodzić wynurzeniom żalu; dopiero gdy czas dłuższy hrabina nie wychodziła, w obawie, czy nie zaszedł jaki wypadek, kapitan gwardyi otworzył drzwi, lecz natychmiast cofnął się przerażony. Wszyscy oficerowie rzucili się do pokoju i ujrzeli wyraźnie przez drzwi otwarte, że królowa siedziała w trumnie i czule ściskała hrabinę Steenbok.

Powoli zjawisko zaczęło znikać i wkrótce rozproszyło się w grubej mgle. Gdy zniknęło, ciało królowej leżało spokojnie na katafalku, lecz hrabiny Steenbok w sali nie było. Nadaremnie przeszukano cały gmach i pokoje, nigdzie żadnego nie znaleziono śladu. Natychmiast wysłano kuryera z wiadomością o tak nadzwyczajnem zdarzeniu do Sztokholmu i wówczas dowiedziano się, że hrabina Steenbok wcale nie wyjeżdżała ze stolicy, a umarła w tej właśnie chwili, kiedy ją widziano w objęciach zmarłej królowej.

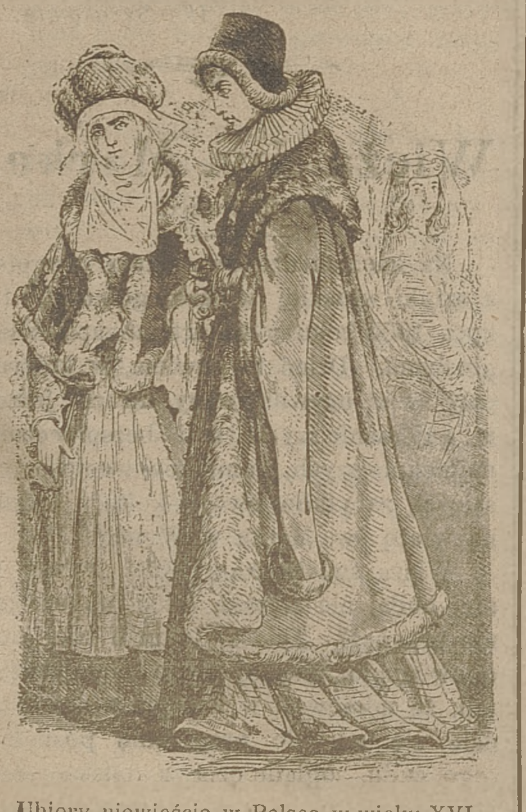
O zdarzeniu tak nadzwyczajnem, natychmiast sporządzono protokuł, który podpisany został przez świadków naocznych.

* * *

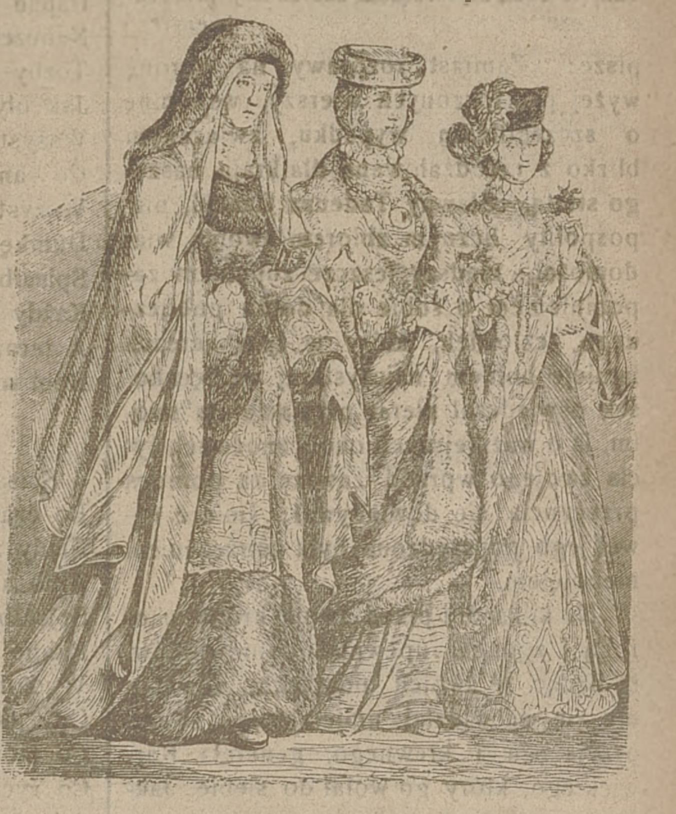
W roczniku religijnym „Alleluja“ z roku 1843 na str. 132 czytamy:

Bruno von der Harten-Faust urodził się w Kolonii w r. 1035. Nauki teologiczne pobierał w Rheisus. Tu wstąpił do stanu duchownego. Stolica biskupia zajęta była przez Manassesa, człowieka niezbyt dobrych obyczajów. Młody doktor teologii Bruno, zapozwał biskupa przed trybunał kościelny, ustanowiony dla powściągania nadużyć duchowieństwa. Walka trwała długo, napełniła goryczą i utrapieniem dwadzieścia lat życia Brunona, lecz wytrwał on do końca, dopóki biskup ukarany nie został. Lud i duchowieństwo pragnęło wynieść Brunona na wakującą godność biskupią, lecz ten, obawiając się chwały z powodu odmówienia godności, wprost ukrył się w Paryżu przed zagrażającem mu powodzeniem.

Tu wypadek nadprzyrodzony, którego Bruno był świadkiem naocznym, skłonił go do zupełnego nawrócenia się; liczył on natenczas lat pięćdziesiąt. Jednakże zawsze skromny i chciwy nauk, pilnie uczęszczał na lekcye teologa, którego zdolność i pobożność osławione były w okolicy i zachwycały Brunona. Znakomity teolog ów, Raymund Diocres, umiera. Uczniowie jego sprawiają mu pogrzeb wspaniały, a jeden z nich miał zed trumną, stojącą w pośrodku ko-



Ubiory niewieście w Polsce w wieku XVI.



Ubiory niewieście w Polsce w wieku XVII.

ścioła, mowę pogrzebową, lecz w chwili, gdy starał się opisać szczęście, którem się cieszy człowiek tak pobożny w gronie błogosławionych, wieko trumny podniosło się, umarły wstał i pochwały kłamliwe, jakich za życia doświadczył, odpychając z pod śmiertelnego całunu, powoli w te odezwał się słowa:

Jestem obwiniony... jestem sprawiedliwie potępiony!....

Poczem zmarły położył się, a wieko trumny zamknęło się nad potępieńcem.

Nie było tak zatwardziałego serca w kościele, któreby wówczas nie zadrżało. Przerażeni byli również tym wypadkiem profesorowie i uczeni, między którymi znajdował się i Bruno. Będąc świadkiem tej strasznej sceny, dziwnie się skruszył, a wyszedłszy z kościoła, powiedział do towarzyszy:

Oto potępionym jest ten, którego uważaliśmy za zbawionego. Zacznijmy i my pokutę, abyśmy również na potępienie nie zasłużyli. Wkrótce też opuścił miejsce swego pobytu, udał się na pustynię, wśród gór alpejskich. Tam, w owej pustyni, założył zakon od jej nazwy Kartuźnią zwany, przyjął regułę św. Benedykta, pomnożywszy jej surowość. W r. 1101 Bruno dokonał swego żywota i policzony został w poczet świętych. Zakon Kartuzów istniał i w Polsce, sprowadzony tu przez Kazimierza Leona Sapiehę.

* * *

W przypisach do powieści „Marya“ (wydanie piąte, Paryż, 1867.) Antoni Malczewski, objaśniając dwuwiersz:

„Czy struny natężone tkliwem władz wysnu-
[ciem —
Tknięte ręką nieszczęścia zabrzmiały przeczu-
[ciem?“

pisze: „Zamiast rozprawy na obronę wyżej przytoczonych wierszy, wspomnę o szczególnym wypadku, związanym blizko z nieodżałowaną dla kraju naszego stratą. Sławny Tadeusz Czacki, niepospolity licznym zbiorem swoich wiadomości, rzadszy jeszcze zupełnem zapomnieniem o sobie dla dobra publicznego, człowiek, który w tylu sercach istnieje hołdem najczystszej wdzięczności, oświadczał nieraz przyjaciołom swoim, iż o ważniejszych okolicznościach życia swojego wprzód zawsze za pomocą przeczucia się dowiadywał; śmierć nawet jego poprzedzona była ostrzeżeniem niepojętem.

Na kilka dni przed swoją krótką chorobą i zgonem upewniał domowników, iż będąc w swoich pokojach, zdawało mu się, że widział umierającego swego przyjaciela i krewnego, generała Karwickiego, który go wołał do siebie. Jakże dziwnie i okrutnie sprawdziły się te słowa! Oto w kilka dni nadeszła wiadomość o śmierci generała Karwickiego, mieszkającego o mil kilkadziesiąt, a wkrótce i Czacki poszedł połączyć się z wzywającym go przyjacielem.“

* * *

W roku 1790 w Amsterdamie spełniono straszne morderstwo. Zegarmistrza, rodem z miasta Loele, wrzucono w kanał, z rękami i nogami związanemi. Wydobyto go z wody jeszcze żywego, lecz w kilka godzin zmarł, wyrzekłszy tylko: „Więc sen się sprawdził.“ Między jego papierami znaleziono list, napisany na kilka dni przed śmiercią.

„Tej nocy miałem straszny sen; śniło mi się, że dwóch ludzi napadło na mnie, związało i wrzuciło w wodę. Już to czwarty raz śni mi się to samo, w ciągu pięciu tygodni.“ W drugim zaś liście pisał:

„Jeżeli wskutek nieszczęśliwego wypadku stracę życie, proszę tych, którzy znajdą tęn bilecik, zawiadomić o nieszczęściu zacnego ojca mojego, radcę w Loele, żeby wiedział, jaki los spotkał jego syna.

Wypadek ten opisany jest w dziełku Stillinga, wydanem w r. 1834. *Z.*

Niepiśmienny.

Gawęda ludowa.

I.

Ja nie zazdroszczę, chowaj mię Boże,
Nic i nikomu na bożym świecie;
Jednego tylko zazdroszczę może,
Że wy panowie pisać umiecie.
Dajcie mi pióro i kartę białą,
Nauczcie piórem wodzić w potrzebie!
Tożby latało, tożby latało,
Jak błyskawica po ciemnem niebie!
Wszystko, co boli, co cieszy szczerze,
Co sam obaczę, co mi kto powie,
Wszystkobym wiernie kładł na papierze,
Dumkę po dumce, słowo po słowie.
Spisałbym widok bożego świata,
Każdy tak piękny, każdy odmienny;
A teraz wszystko marnie ulata,
Bom nieuczony, bom niepiśmienny.

II.

Spisałbym naprzód piękne sny moje,
Bo czasem cudnie przyśnić się zdarzy,
Kiedy zobaczę śliczną dziewoję,
Albo aniołów o jasnej twarzy.
Spisałbym potem ptaszął słóweczka,
Ranne skowronka *Zdrowaś Maryja*,
Wydałbym pismem co mówi rzeczka,
Gdy się w kamykach piana rozbija,
Co mówi z wiatrem kłosista niwa,
Co ryczą woły, jak beczą stada,
Jak dzwon kościelny ludzi przyzywa,
A potem mrucząc sam z sobą gada,
Jak kowal młotem bije w kowadło,
Jak młynarz grzmoce w roszczep ka-
[mienny,
Wszystkoby wiernie spisać wypadło —
Pożal się Boże! jam niepiśmienny!

III.

Jakie rozkosze, jakie rozkosze!
Umieć wypisać słowo po słowie,
Co marzę w myślach, co w sercu noszę,
Karta zrozumie, piórko wypowie!
Ludzie gotowi wyśmiać biedaka,
Nie zrozumieją, serce ci zranią.
A czasem dumka przychodzi taka,
Że i słów żadnych nie znaleść na nią.
Ja bym po prostu jak serce puka,
Takbym i pisał na białej karcie!
Pukania serca złowić nie sztuka,
Ludziom nie można mówić otwarcie.
Pióro wyskrzypi z pod serca mowę,
A papier milczy jakby mur ścienny...
Dumki — gołąbki, bywajcie zdrowe!
Ja was nie chwycę — jam niepiśmienny.

IV.

Łatwiejże panom, łatwiej żydowi,
Szczęśliwi w sądach biegli pisarze;
On swoje dumki na papier złowi,
A potem z ludźmi co chce dokaże.
Ja — daj mi piórko, naucz niem wła-
[dać —
Kiedy na kartę wszystko wyłożę,
Gdy moją nędzę pocznę powiadać,
To twarde serca skruszyłbym może.
Spisałbym z tego bez żadnej zmiany
Książkę modlitwy taką jak kramną,
A tam i Chrystus ukrzyżowany,
Możeby łaskę uronił za mną.
Gąsko, ty gąsko! ja latem pasę,
Ja ciebie karmię w porze jesiennej!
Daj mi twe piórko, daj skrzydło wasze! —
Toż to polecę, człek niepiśmienny!

W. Syrokomla.

Wieża św. Marka.

(Do illustracyi).

Na kartach dziejów sztuki wogóle, a sztuki włoskiej w szczególności, 14 lipca 1902 roku niezatartemi zapisze się głoskami. Dzień to bowiem, w którym cały świat ucywilizowany utracił jeden z najdawniejszych a i bezsprzecznie najpiękniejszych, pomników swojej przeszłości, zabytków swojej kultury — słynną wieżę św. Marka w Wenecyi.

Wieża św. Marka... Któż z nas o niej bodaj nie słyszał, któż ujrzeć jej nie pragnął? Tyle się nam o niej naopowiadano, tyleśmy się o niej naczytali, że mimowoli w każdym z nas zrodzić się musiało pragnienie poznania tego cudu, oglądnięcia z bliska tego sędziwego kolosa, nad którym dziesięć burzliwych wieków przehuczało, który

setki widział pokoleń rodzących się i umierających, do którego tyle dawno przebrzmiałych wspomnień przylgnęło... I nic w tem dziwnego. Przeszłość ma dziwny czar w sobie, dziwny urok, któremu oprzeć się trudno, zwłaszcza, gdy na jej dnie czają się mary na zawsze umarłych wspomnień, na zawsze pogrzebanych tajemnic. Wabi ona wtedy ku sobie z takim wdziękiem, pociąga z taką siłą, że chciałoby się całemu w niej zatonąć i słuchać jej szeptów, napawać się jej wonią i tylko śnić, marzyć... bez końca.

Śniły też i marzyły u stóp wieży św. Marka pokolenia za pokoleniami, a ona niby piastunka, szeptała im do ucha swoje opowieści: budząc w ich duszach to boleść, to radość, to smutek, to tęsknotę, a zawsze bruzdami zmarszczek zadumy znacząc ich czoła...

Dzisiaj już się to skończyło. Na miejscu, na którem tyle przetrwała wieków, gruzy jeno pozostały, znacząc sobą ślad niedawnego jeszcze jej istnienia. Niebawem gruzy usuną, nową wieżę wzniosą, ale nie będzie to już dawna wieża św. Marka. Zewnętrznie będzie ona może zupełnie taka sama, jaką tamta była, lecz nikt już o niej nie powie, że to ta sama, że to ta, która tak świetne czasy przeżyła. Bo prawdziwa wieża św. Marka należy dzisiaj już do przeszłości, której nikt i nic wskrzesić nie zdoła. Pozostało po niej tylko wspomnienie. To też, gdy kiedyś, po latach, jaki podróżny zatrzyma się u stóp nowej wieży, pierwszem objaśnieniem, które otrzyma od swego przewodnika, będą słowa: „Tu stała wieża św. Marka.“

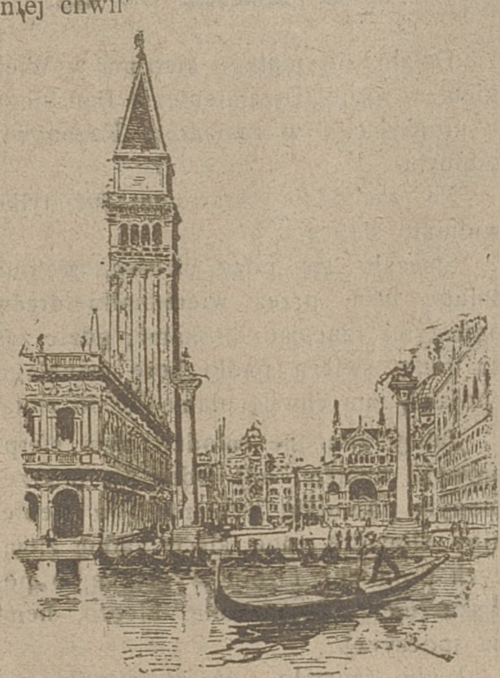
Nie od rzeczy więc może będzie poswięcić jej słów bodaj parę, przypomnieć sobie bodaj w głównych zarysach jej dzieje.

* * *

Narodziny wieży św. Marka bardzo odległej sięgają przeszłości. Budowę jej rozpoczęto w czasie od 888 do 890 roku — dokładnie data nie jest znana — za rządów doży Piotra Tribuno. Budowa szła bardzo powoli, przerywano ją bowiem kilkakrotnie, i to na dłuższy przeciąg czasu. Świadczą o tem następujące daty: doprowadzona w 1150 r. do wysokości izby dla dzwonnika, dalsza budowa wieży podjętą została dopiero 28 lat później, po to, ażeby zaniechano jej następnie na dwa blisko stulecia. Ostatecznie jednak ukończono budowę, a stało się to w 1329 r.

W 1489 r., 11 sierpnia, uderzył w wieżę piorun, przyczem uległa ona takiemu zniszczeniu, że okazała się potrzeba gruntownej odbudowy. Powierzono ją architekcie Bartłomiejowi Buon z poleceniem, ażeby wszystkie drewniane części wieży zastąpił kamieniem. Przy sposobności tej odbudowy dokonano znacznych przeróbek w układzie i zewnętrznym wyglądzie wieży.

W kilkanaście lat później, w marcu 1511 roku, spotkał wieżę św. Marka nowy wypadek, skutkiem trzęsienia ziemi. Musiano więc znowu zabrać się do jej naprawy. Tym razem jednak praca szła raźno, tak, że już w październiku tegoż roku wieża była zupełnie naprawioną. Równocześnie prawie rozpoczęto pracę około ukończenia dekoracyi wieży. Trwała ona do 1516 r., w następnym zaś roku umieszczono na wieży posąg anioła z drzewa, okrytego miedzią, który zachował się do ostatniej chwili.



Wieża św. Marka w Wenecyi.

Rok 1745 zapisał się nowem zdarzeniem w dziejach wieży. Oto uderzył w nią ponownie piorun i zniszczył tak, że naprawa była nieodzowną. Dokonano jej pod kierunkiem słynnych matematyków włoskich, Zendriniego i Paleniego, ale w sposób niedostateczny, pozostały bowiem po naprawie liczne usterki. Tym to usterkom właśnie przypisują powszechnie katastrofę.

Ostatnią datę z dziejów wieży św. Marka stanowi rok 1776, w którym zaopatrzono ją w konduktora do ściągania piorunów. Dokonał tego Józef Toaldo.

Oto w ogólnych zarysach historya nieistniejącej już dziś wieży św. Marka. Pozostaje jeszcze poświęcić słów parę loggeccie, którą wieża, upadając, przywaliła swoim ciężarem i zupełnie zniszczyła.

Budowę jej rozpoczęto w 1540 r., a ukończono w 1580 r., według planów Sansovina. Była ona z początku przeznaczoną dla patrycyuszów, którzy się w niej zbierali na pogawędkę, potem zaś obrócono ją na pomieszkanie dla będącego na służbie prokuratora z San Marco, który w czasie posiedzeń senatu sprawował funkcye komendanta straży pałacowej.

Loggiettę zdobiły liczne rzeźby i malowidła, posiadające wysoką wartość artystyczną, choć przez niektórych dla swojej teatralności surowo ganione.

* * *

Co stało się powodem zawalenia się wieży św. Marka — wyjaśnionem jeszcze dokładnie nie jest. Krążą w tym względzie na razie same tylko przypuszczenia, z pośród nich zaś zwłaszcza głos prof. Suessa, słynnego geologa, na baczną zasługuje uwagę, a to zarówno dlatego, że pochodzi od tak wybitnego uczonego, a zarazem dlatego, że przedstawia całą sprawę w zupełnie wprawdzie od innych odmiennem, ale też i najprawdopodobniejszem świetle, wreszcie zaś także i dlatego, że uspokaja opinię publiczną, zaniepokojoną znanem orzeczeniem prof. Wagnera, iż Wenecya kiedyś w gruzy się zapadnie.

Zdaniem prof. Suessa, przyczyn zawalenia się wieży św. Marka szukać należy głównie i jedynie w samej wieży, mianowicie w jej starości, która musiała wpłynąć na zmniejszenie się jej odporności przeciwko szkodom, zębem czasu wyrządzanym. Nie trzęsienia ziemi więc, ani właściwości gruntu, na którym stała wieża, spowodowały katastrofę, lecz spowodował ją jedynie stan samej wieży, mocno skutkiem starości uszkodzony i zniszczony. Dowodzi tego zresztą fakt, że zawalenie się wieży poprzedziło wysunięcie się pewnej jej części, mianowicie pod samą dzwonnicą, naprzód, w kształcie ogromnego wygięcia kabłąkowatego. Zapowiadano z tego powodu już dawniej katastrofę, ale mimoto nie postarano się o naprawienie wieży.

Co do wyrażonej przez prof. Wagnera opinii, że cała Wenecya kiedyś się zapadnie, prof. Suess oświadcza, iż jest to co najmniej przesadą. Obawiać się takiej katastrofy nie ma żadnego powodu, chyba, że zaszłoby coś nieprzewidzianego. Jeżeli zaś nic takiego nie zajdzie, Wenecya stać będzie dalej, jak stała dotychczas, czyli nieuszkodzona.

S. P.

Dziwny przypadek.

Ulicami Berlina przechodziły dwie młode, zdrowe, urodziwe wieśniaczki; jedna z nich niosła malutkie dzieciątko na ręku. Przechodnie oglądali się za niemi, gdyż zwracały na siebie uwagę zarówno nieznanem w Berlinie ubraniem, jak i niezwykłą urodą.

Tak idąc, ujrzały wspaniały gmach i stanęły przed nim. Właśnie ktoś wcho-

dził do wnętrza, a kobiety spostrzegły przez otwierające się drzwi, zawieszone w przedsionku obrazy.

— To kościół — szepnęła jedna — wstąpmy, pomodlimy się trochę. — To mówiąc, popchnęła drzwi i weszły do środka. Postąpiwszy kilka kroków, ujrzały Matkę Boską z dzieciątkiem na ręku. Najświętsza Panienka była tak piękna i tak słodko na nie patrzyła z obrazu, że kobiety uklękły, złożyły ręce i wpatrując się z zachwytem w cudowne lice, modlić się zaczęły.

Lecz w tejże samej chwili przystąpił do nich portyer i coś po niemiecku zagadał.

— Nie rozumiem — odpowiedziała jedna kobieta i dalej odmawiała pacierz.

Portyer odstąpił od wieśniaczek, podszedł ku dwom innym stojącym w galeryi służącym i rzekł:

— Jakaś wieśniaczka klęczy przed obrazem i modli się, kazałem jej odejść, ale nie zrozumiała mnie. Tamci spojrzeli na klęczące kobiety, a jeden z nich rzekł:

— To moje rodaczki, Polki z W. Ks. Poznańskiego rozmówię się z niemi — to rzekłszy, przystąpił do jednej, a widząc, że wpatrzona w twarz Matki Boskiej, nie widzi go, dotknął jej ramienia rzekł:

— Tu nie wolno klęczyć i modlić się.

— Co też mówicie? Nie wolno modlić się do Najświętszej Panienki i to jeszcze w kościele!

— Ale to nie kościół, to muzeum.

Kobieta nie zrozumiała.

— Ale jest Najświętsza Panienka — rzekła.

— Lecz tu z małemi dziećmi wchodzić nie wolno.

— Co za dziwne te niemieckie kościoły. Chociaż pozwólcie dokończyć pacierza.

— Nie wolno kobieto. Muszę się stósować do rozkazu.

W tej chwili drzwi wchodowe otworzyły się znowu i weszła elegancka młoda pani.

Zdziwiona oryginalnem ubraniem modlących się kobiet, zapytała rozmawiającego z nią mężczyzny:

— Co to za kobiety?

— To polskie wieśniaczki, zobaczywszy obraz Matki Boskiej, myślą, że to kościół i nie chcą wyjść.

— Poprowadźcie je dalej, to się przekonają, że są w błędzie.

— Nie wolno do muzeum wpuszczać maleńkich dzieci, a jedna z nich ma niemowlę przy piersi.

Pani spojrzała uważnie na kobietę i dziecko i uderzona została ich zdrowiem i pięknością.

— Skąd się one wzięły? — zapytała.

Portyer porozumiał się z kobietą i odrzekł:

— Mąż jej był w służbie u ks. Radziwiłła i tu z dworem książęcym przyjechali.

— Czy ona nie podjęłaby się karmić mego dziecięcia, mam sześciotygodniową córeczkę, nagrodzę ją sowicie i wezmę razem z dzieckiem?

W kilka tygodni potem Katarzyna z pod Kościana wraz ze swem dziecięciem pojechała do Anglii, jako mamka malutkiej Miss Maud Biggs.

Karmicielka pokochała całem sercem swą mleczną córeczkę, a że umiała tylko po polsku, więc po polsku do niej przemawiała i Miss Maud Biggs uczyła się równocześnie z swoim językiem ojczystym, także mowy polskiej, której ducha i umiłowanie wyssała z mlekiem polskiej karmicielki.

Mała Maud wyrósłszy, zapoznała się dokładnie z literaturą polską, a szczególniej zachwyciły ją dzieła Mickiewicza. Ona to przetłómaczyła na język angielski „Pana Tadeusza“ i „Konrada Wallenroda“, a tłomaczenie to jest najlepsze, jakie posiada literatura angielska.

P. P.

We żniwa.

Działo się piątego sierpnia w Wielgiem, w wigilię Przemienienia Pańskiego i uroczystego w sąsiednim Kazanowie odpustu.

Na zachodzie skrawkiem już tylko widniało słońce.

Staczało się poza ciemną, zieloną smugę lasu, przez wierzchołki drzew ognistymi rzucając blaskami; gdzie zaś na rudą, świeżą padło korę smukłego chojaka, tam chwilę plamą leżało złotą.

Jakby znużone całodziennym sierpniowym upałem, ani jedną nie pokrzepionym chmurką, wchłaniało w siebie, niby ślimacze rogi, kiście żarem ziejących promieni, i zbite w gładką, o połysku metalicznym kulę, biegło, hen! na spoczynek.

I nie świeciło już a świeciło się jeno, rumieniło chwilę jeszcze i — znikło.

Na dworskim łanie wielickim, „stokami“ zwanym, — stokiem był bowiem przerzynającego sąsiednią mu łąkę strumienia, za którym wężem czterdziestu chat czerniła się wzdłuż drogi płowej wieś, — rojno i gwarno.

— Dożynać!... — dożynać!... — coraz natarczywiej nawoływali polowi, a około stu żniwiarzy, długim szeregiem, pod ścianą zwartej jak mur pszenicy wyciągniętych, kładło ją miarowym zgrzytem sierpów równoległemi po ziemi smugami.

Opodal z ustawionych dnia poprzedniego półkopek i mendli, czterokonne fornalki dworskie, najzwinniejszymi obsługiwane parobczakami, zwoziły zboże ku widniejącym w kępie rosłych topoli czerwonymi słupami stodołom, z wesołem potrzaskiwaniem batów mijając się na szerokiej, także topolami sadzonej drodze, skrajem „stoków“ ku Łaziskom i kościołowi wielickiemu wiodącej. Ostatnie nakładano fury.

Ale i słonko już zaszło, ten i ów podnosił się, prostując krzyże, ten i ów spozierał ku sadzonej topolami drodze, azali nie ujrzy na niej na szpakowatym mierzynku ekonoma z kwitami.

Zapóźnieni na gwałt dożynali zagonów; pomagali im ludzie od zwózki. Dziewczęta chwytały sierpy starszych najemnic, te zaś pojadając chleb ze zwiniętych w wałki dokoła bioder zapaśników, zbierały kołyski polowe i porozwieszane na kozłach płachty lub przysiadały, z dziećmi na ręku, po miedzach.

— Dożynać!... — szereg żniwiarzy sięgał już łąki, jeszcze tylko garści kilka.

— Dożynać!... — dożynać!... — przed odpustem i to i owo załatwić wypadało po chatach.

Na skraju łanu, tam ode dworu, od zagona sterownicy głośne ozwały się śmiechy. Klęczał na nim Antek Sulimiak, kolano sunie za kolanem, garście zajmuje jak snopy, ani dojrzeć połyskującego mu w ręku sierpa. Pszenica, wyczka w niej, maki i chabry kładły się podle chłopaka pokotem; już łąki dobijał.

Obok Marysia Kosowiaczka, przodownica, ostatnich sił dobywa, byle Antkowi nadążyć. Pochylona nad zagonem, pękiem barwnych paciorków ku ziemi spuszczonym potrząsa i uwija się niby iskra, wierzchem dłoni płowe z nad oczu odgarniając włosy.

— A nie daj się, Maryś!... — dogadywały z boku nadbiegłe od zwózki chłopaki.

— A juści! — odcinały się dziewuchy, — cały dzień przy zwózce zmitrężył, a tera wypoczęty od sierpa sterownicę ci udaje.

Ale Antek na przycinki nie zważał, coraz zaglądał Marysi w oczy, uśmiechał się i żął, aż furczało.

— Głupiaś ty, Maryś — ciągnęły dalej dziewuchy, widząc, że Sulimiak górę bierze, — co ty się z nim zadajesz? Dyć na tych kolanach to ci jak do ołtarza sunie, a zgiąć mu się nijak.

A chłopaki swoje;

— Maryś, nie daj się, Maryś!...

Antek ostatniej już prawie dożynał garści, wyprzedzić go było niepodobieństwem.

— A bo i prawda, co ja się tu z nim będę mierzyła! — zawołała Kosowiaczka, podnosząc się nagle z nad zagona, zarumieniona wysiłkiem a gniewna zwycięstwem Antka. — Kiej mu się chce żąć wraz ze mną, to niech żnie stojący — dodała, wybiegiem ratując honor sterownicy.

— A możebyś się położył na zagonie? — huknęły chórem dziewczęta.

— Żeby tak o co — odciął się chłopak, — tak mi stojący, jak i leżący — i nie wiele myśląc, wyciągnął się na niwie jak długi, a skończywszy ze swoim,

jął dożynać od góry, od łąki Ma rysinego zagona.

Figiel ten głośnym przyjęto śmiechem.

— Dożynać!... — krzyknął zdala polowy, spoglądając groźnie w stronę chłopaków i dziewcząt, ale bez skutku.

Weselono się dalej. Kosowiaczka jeno stała zasępiona, a łzy kręciły jej się w oczach.

— Mądrala! — mruknęła, ocierając rękawem pot z czoła, harda a upokorzona dziewucha.

I Antek pomiarkował, że zanadto jej dokuczył.

— Ino się Maryś nie gniewaj — rzekł miękkim jakimś, dźwięcznym, a bez śladu żartu głosem — Maryś, dyć-em ci nie krzyw — dodał ciszej i spojrzał dziewczynie w oczy.

Płomieniem przebiegł ją rumieniec, ale nie odpowiedziała nic, z dąsem odwróciła się i poskoczyła na łąkę, gdzie do wypłaty kwitów stawali rzędem żniwiarze. Wsunęła się w sam ich środek, dając do poznania Antkowi, że nie życzy sobie jego sąsiedztwa.

Chłopak manewr ten zrozumiał, ale go nie wziął do serca.

— Harda dziewucha — mruknął, dożął zagona, z ostatniej garści kilka maków wybrał szkarłatnych i błękitnych chabrów, związał je w pęk łodygą wyczki i z sierpem na ramieniu stanął na skraju szeregu. Kiedy niekiedy wychylał głowę ku dziewczynie, Marysia jednak wytrwale w inną spoglądała stronę.

Zmrok już zapadał gęsty, gdy posuwając się koleją od żniwiarza do żniwiarza, stanął ekonom przed Antkiem i podał mu trzy kwity: dwa różowe, złotówkowe, jeden zielony, dziesięciogroszowy, zwyczajny zarobek od sierpa. Sulimiak schował je w zanadrze, pokłonił się ekonomowi, powiódł okiem po szerokim łanie, po którym garstkami rozsypali się najemnicy, z sąsiednich przybyli wiosek: Bąkowej, Łazisk, Maryanek, poczem raźno wykręciwszy się na pięcie, biegiem puścił się łąką ponad strumień, gdzie po kładce gęsiego zwolna przeprawiała się do wsi przeważna wśród najemników część żniwiarzy wielickich. W gronie dziewuch czekającej kolei dopadł Marysi.

Niecierpliwiła się.

— Sprawiedliwie — mówiła, — lezą kieby raki, na północek nie zajdziewa do wsi, a tu się trza ogarnąć na odpust.

— Kompania dopiero wedle dziewiątej wychodzi, — zauważyła jedna z dziewuch.

— Kiej nie z kompanią idę, ino sama. Skoro świt, lecę z przędziwem na Ostrownicę, a potem na odpust.

Coby ci się nie cniło w drodze, idźwa razem — wtrącił Antek, niemy do tej pory świadek rozmowy dziewcząt.

Żachnęła się Kosowiaczka:

— A juści, jaki mi kompan! nie miałabym ci nic do roboty, ino się z tobą po odpustach włóczyć! a tobyś lepiej — dodała z przekąsem — kładkę ustawił na strumieniu jaką, bo mi pilno do chałupy.

— Kładkę, jak kładkę, ale kiej ci pilno, to jest i na to rada — to mówiąc, chłopak nagle chwycił wpół dziewczynę, i nim się opatrzyła, przeniósł ją na drugi brzeg rzeczki.

Maryś, zaskoczona z nienacka, krzyknęła, ale rada nierada uległa przemocy, i dopiero, gdy Antek, nie śpiesząc się z tem, zwolna a ostrożnie opuścił ją na ziemię, jęła okładać go trzonkiem od sierpa. Oburzona nie na żarty, sił nie szczędziła, Sulimiak jednak nie bronił się: skulony, uśmiechnięty, przyjmował razy, jakby mu rozkosz sprawiały.

— A bij! a bij!... wołały dziewczęta z przeciwnego brzegu.

— To może i was przepławić? zaproponował Antek i ruszył z miejsca, gotów do czynu.

Dziewczęta odpowiedziały głośnym piskiem i rozbiegły się po łące.

Ale ich chłopak nie gonił, spoważniał nagle, zbliżył się do Kosowiaczki, otrzepującej z wody spódnicę, a podając jej pęk maku i chabrów:

— Naści — rzekł półgłosem.

Dziewucha stanęła w ponsach.

— Naści, mówię — powtórzył i wsunął jej kwiaty w rękę.

Nie rzuciła ich.

— Dobranoc, Maryś — dodał, odchodząc, — a czekaj mnie na odpuście.

* * *

Szarzało... Grały jeszcze na łące pode wsią derkacze, w zbożu przepiórki, gdy we drzwiach jednej w środku położonych chat wielickich stanęła na progu, w białej tylko, na koszulę zarzuconej spódnicy Kosowiaczka. W ręku trzymała dużą, glinianą, polewaną miskę z porzuconemi na dnie jej: mydła kawałkiem, grzebieniem i we wzorzystej ramce, kupionem na jarmarku w Zwoleniu lusterkiem składanem.

Dziewczyna rozejrzała się chwilę uważnie dokoła, rzuciła okiem na kilka dopalających się gwiazd na wybladłem niebie, poczem szybko zbiegła do studni, a złożywszy na cembrowinie mydło, grzebień i lusterko, zaczerpnęła wody w miskę i jęła się płukać, pewna, że o tej porze tak samą tu była na podwórzu, jak między czterema ścianami dusznej komory. Matula nawet, którzy ją na dziś wyręczyć mieli w obrządku gospodarskim, gdy wychodziła z izby, wygrzewali się jeszcze pod pierzyną w najlepsze.

Maryś stroiła się w milczeniu. Obficie spłukane wodą twarz i szyję otarła zręcznie uchyloną w górę spódnicą, a roztworzywszy lusterko, zabrała się do czesania. Nie wesoło jej czegoś było, tęskliwie, nie zanuciła też ani razu, splatając ciemne warkocze, ani uśmiechnęła się do rumianej zdrowiem o regularnych rysach twarzy i ładnych, dużych szafirowych oczu, które nawet w odbiciu jarmarcznego lustra, bogatemi obramowane rzęsami, świeciły niby dwa chabry, w gęstej zasute darni.

Już wracając do chaty, ze szkopkiem w ręku wychodzącą z niej spotkała Kosowiakową,

— A zwijaj się dziewucho żywo! — rzekła do córki: — już rozedniało, a na Ostrownicę szmat drogi, — i zwolna, poziewając, rozespana jeszcze, skierowała się ku obórce i chlewom.

Odmykała je koleją, wyganiając na podwórko kilkanaście owiec, troje sztuk jałowizny, dwa młode, do pługa już gotowe ciołki, i rosłą, spasioną krowę. Gospodyni napoiła dobytek w studni, poczem rzuciwszy jej wiązkę przygotowanego na ten cel chwastu, zabrała się do dojenia krowy.

Niebawem wyszła na podwórze Maryś, przybrana w drogę. Uśmiechem powitały oczy matki dorodną, jak łania, dziewuchę. Podniesioną miała u bioder czerwoną spódnicę na sobie, biały na niej, haftowany dołem fartuch i wzorzysty w kwiaty gorset, na cienką nałożony koszulę, na którą od szyi pękiem różnokolorowe zwieszały się paciorki. Szła boso, z przewieszoną przez ramię parą sznurowaną, na wysokich obcasach trzewików, z których białe wyglądały pończochy, w ręku zaś trzymała książkę do nabożeństwa na złożonej starannie kraciastej, czerwonej chustce muślinowej od słońca. Na plecy zarzuciła spore zawiniątko z przędziwem, a pojadając trzymaną w drugiej ręce kromkę chleba, zbliżyła się do matki, która jej do ust podała szkopek z mlekiem. Nie było czasu ciepłej zwarzyć strawy.

Ale już i wróble ocknęły się ze snu po strzechach, świegotem wypełniając powietrze; od Kazanowa, od wschodu zrumieniony nieboskłon wachlarzem pokrył się lekkich, różowych środkiem, fioletowych brzegami obłoków. Raz i drugi chłodno ponad ziemią przebiegły podmuchy wiatru, zapowiedź zbliżającego się słońca.

Maryś pochyliła sie do rąk matki, całując je na odchodnem. Matula pogładzili ją po twarzy:

— A nie zgub córuś motków po drodze — rzekła i poszła.

Biegła po za wsią na przełaj ścieżyną, łanami dworskimi, het! ku lasowi, którego skrajem, krótsza, boczna prowadziła droga do miasteczka. Mijając Muchę, dawną osadę młynarską, wiła

się dalej piaszczystem wzgórzem, karłowatą porosłem choiną, aż tam do krzyża na rozstajnych drogach, gdzie z głównym łączyło się gościńcem, a ztąd już widniał, jak na dłoni, Kazanów, ponad obfitą w wody rozsiadły Iłżanką, a wysunięty brzegiem białej łąkami grobli, szeregiem mostów, młynów i tartakiem. W bok miasteczka od krzyża, płowa na lewo szła droga ku Ostrownicy, gdzie przed odpustem jeszcze tkaczowi oddać miała Maryś przędziwo.

Migocząc w dali czerwoną plamą spódnicy niby mak w zbożu, posuwała się dziewczyna szybko, zmarszczona, zafrasowana jakaś, nieswoja.

— „A czekaj mnie na odpuście!“ — rzekł do niej Antek, rozchodząc się z nią dnia poprzedniego na łące. I czegoż to czekać miała? — Wstydu może i pośmiewiska ludzkiego! Chłopak, jedynak u ojców, co na dwóch rolach siedzieli, jak iskra żywy, a niby dębczak wyrosły, przedmiot umizgów wszystkich we wsi, ba! i na okolicę dziewuch czy pokłonić się matuli, czy o zapowiedziach myślał, w szafirowe zaglądając oczy Kosowiaczce, dziewczynie, jak malowanie, prawda, ale sierocie po ojcu, z matką na połowie tylko roli osiadłej... A toć i Nastce Nachylance nie zbywało na krasie, i rolę miała całą, a bałamucił jeno...

Na wspomnienie Nastki, krew falą uderzyła na twarz dziewczynie, a brwi zsunęły się nad oczyma.

— Niedoczekanie jego! — mruknęła mimowolnie prostując się hardo.

Minęła ścieżkę i szła teraz brzegiem lasu, wciąż Antkiem zafrasowana. Ale bo też i jej Sulimiak wpadł w oko, a czuła, że mu nie jest obojętna, że mówiąc do niej, inaczej jakoś, niż do innych odzywał się dziewucn, a miękko, słodko, a czasem pokornie, że na głos jego dziwna rozlewała się po niej błogość. Jeno się go bała okrutnie, choć nadrabiała miną, a nieraz i wykrzyczała korzystając z wielkiej chłopaka powolności ku sobie. Jeno się go pilnie strzegła, boć ją niedarmo „honorną“ po wsi nazywano: dziewczyna i palcem tknąć się nikomu nie dała, a, nie da pewnie i teraz!

— Niedoczekanie jego! — powtórzyła raz jeszcze, za wodą już, wchodząc na piaszczyste, choiną pokryte wzgórza.

A jeżeli tam w nim szczera była dla niej miłość? Jeżeli nie o krzywdzie jej myślał, ale po bożemu na niewiastę ją sobie upatrzył? Jeżeli się matuli i ojcom pokłoni? jeżeli do ołtarza powiedzie? Oj, wtedy, a pewną była tego Maryś, bo serce biło jej w piersiach, jak młotem, oj wtedy kochałaby go też tego swojego Antka, kochała!...

Rozmarzona ani nie spostrzegła, jak minąwszy wzgórze, znalazła się u rozstajnych dróg pod krzyżem, gdzie nagle z za wieży kościoła kazanowskiego wytoczyła się ku niej złocista kula słońca. Dobrze się już wybiło na niebie, a tak jakoś wesoło rozglądało po równinie, tak ciekawie tu i ówdzie jasnym wciskało promieniem, że się snadź i do skołatanej duszy dziewczyny przedarło, bo jakby mimowiednem postanowieniem znaglona, zboczyła z drogi, a przyklęknąwszy pod krzyżem, u stóp jego, wyjąwszy z za gorseta, te same złożyła kwiaty: maki i chabry, łodygą wyczki związane, które wczoraj „naści“, mówiąc tylko, a jednak przemocą prawie, zniewolił ją zatrzymać Antek.

* * *

Miało się już ku zachodowi, gdy Antek wszedł do szynku Chaimka, poza miasteczkiem, tuż obok młynów, przy samym gościńcu położonego. Siadł przy oknie, wychodzącem na drogę, i kazał sobie kufel piwa podać. Chłopak gniewny był, bo czapkę na oczy nasunął, a choć w izbie roiło się od luda, z okna i drogi oka nie spuszczał.

— Kiż licho! — mruknął, drapiąc się po głowie: jeszcze go to nie spotkało ni razu, żeby mu dziewucha która tyle oporu stawiała. Cały dzionek, niby ten cień, snuł się za Kosowiaczką i dobrego się od niej nie doczekał słowa. A kiedy, nie wiedząc już czem ją ująć, bo ani pierników, ani pierścionka, ani nawet medalika posrebrzanego z Częstochowską przyjąć nie chciała, zaproponował dziewczynie, aby z nim do zajazdu Szmula na lampkę miodu wstąpiła, to ci się, jakby ją kto żelazem zapalonem przypiekł, żachnęła i zwymyślała go tak, że aż z wielkiego wstydu przed ludźmi uciekać od niej musiał.

Umiałby on sobie z inną dać radę, ale z Marysią nie szło mu nijak. Jeszcze ją potem sam przepraszał, a choć się to niby udobruchała, zawszeć czuł, że obrachunek między nimi nieskończony.

Dziewczyna po nieszporach pobiegła w odwiedziny do chrzestnej na ulicę Kroczewską, skąd prosto już wracać miała do domu. Przechodzić musiała pod szynkiem Chaimka, i właśnie Antek chwili tej wyczekiwał.

— Wybiegnę za nią — myślał — to i odprowadzę. Honorna, choćby i sama szła, nie odpędzi.

Przechodziło to chłopakowi nieraz przez głowę, czyby nie pokłonić się o dziewuchę Kosowiakowej. Ojcowie, którzy w syna jedynaka niby w tęczę patrzali, pewnoby nie zabronili mu tego, choć o bogatszym dla niego dumali ożenku. Ale żal mu było jeszcze swobody, żal niekrępowanego niczem życia; niewiastę brać, to i niewola. A zresztą i Nachylanka przecie stawiała mu się zrazu bardzo, a potem jak wosk zmiękła. Tylko że z Kosowiaczką trudniejsza była sprawa.

— Kiż licho! — powtórzył, energicznym ruchem ręki poprawiając czapki na głowie.

Wtem mignęła mu się na gościńcu czerwona spódnica Marysi. Zerwał się, za piwo zapłacił i skoczył przed sień, a serce tłukło mu się w piersiach, jak niesamowite. Dziewczynę odprowadzała chrzestna, zatrzymał się więc; niedaleko zapewne miały iść razem. Jakoś za młynami już jęły się żegnać z sobą, i niewiasta wolnym krokiem zawróciła ku miastu, Kosowiaczka zaś, zdjąwszy z nóg obuwie i podkasawszy spódnicę, szybko ruszyła dalej.

Szła, nie oglądając się, biegła prawie, spóźnioną przynagloną porą. Słońce zagasło już poza wzgórzem, a tylko ramiona krzyża u dróg rozstajnych na rumianym jeszcze nieboskłonie rysowały się jasno, wyraźną, czarną odrzynając się plamą ponad porastającą piaski choiną.

Kosowiaczka, minąwszy groblę, wspinała się właśnie piaskami w górę, gdy z wieży kazanowskiego kościoła uderzył dzwon na „Anioł Pański“, a jednocześnie tuż za nią czyjeś odezwały się kroki. Odwróciła się i pobladła — stał przed nią Sulimiak, zdyszany, wzruszony jakiś, choć uśmiechem starał się pokryć niepokój.

Milcząc towarzyszył jej Antek, na jeden nie umiejąc zdobyć się wyraz. Już dochodzili szczytu wzgórza, gdy chłopak, jakby otrząsnąwszy się z pod wpływu krępującej go dotąd siły, nagle objął wpół dziewczynę.

— Antek! — krzyknęła i skoczyła w bok, zatrzymując się pod krzyżem i spoglądając rozpaczliwie dokoła.

Ale dokoła pusto było i głucho, jeno silniejszy podmuch wiatru z szumem potrząsnął choiną.

Kosowiaczkę strach chwycił nieludzki.

— Antek! — powtórzyła, odtrącając starającego się ją pochwycić chłopaka, poczem, jak nieprzytomna uczepiła się krzyża wołając:

— O! ratuj-że Ty mnie, Jezusieńku, ratuj!...

A musiała z niej siła bić jakaś niezwykła, bo Sulimiak, jakby nagle krzyż obaczył, cofnął się i zdejmując czapkę:

— Maryś — rzekł — no to chodźwa do matuli... — a po chwili, gdy dziewczyna wahała się jeszcze:

— Dam na zapowiedzi po żniwach — dodał. — Chodźwa...

I poszli....

Maryan Jasieńczyk.

Żywcem pogrzebany.

Powieść z włoskiego.

6) **Tłomaczyła P. Otrys.**

(Ciąg dalszy).

Ale cóż to? Co mnie nagle wstrzymało w biegu? Jakaż niewidzialna siła popchnęła mnie za drzewa?

Stanąłem i natężyłem słuch....

Jaki to dźwięk? Czy nie śmiech wesoły?

Tak, to śmiech Niny! Znałem go aż nadto dobrze — i serce moje skamieniało.

Dziś już ona mogła śmiać się a ja umarłem wczoraj.

Przez liście krzewów ujrzałem białą suknię i znów rozległ się jej śmiech! Więc ona przechadzała się tutaj wesoła i szczęśliwa, podczas kiedy ja myślałem, że rozpacza i tonie we łzach! Ach, jaki byłem nierozsądny! Okropna myśl przyszła mi teraz do głowy: czyżby Nina straciła zmysły? Czy nagła moja śmierć tak ją przeraziła? Może to był śmiech obłąkanej...

Teraz zbliżyły się dwie postacie, Nina i Gwidon. Nie było w tem nic złego, Gwidon bowiem był naszym bratem, i miał obowiązek pocieszania mej żony. Ale — czyż mnie oczy nie łudzą?

Straszne przekleństwo, krzyk prawie, dobył się z moich ust! Boże, czemu nie umarłem! Czem była śmierć w porównaniu do tego, co teraz cierpiałem! Ach chwili tej nigdy nie zapomnę — pali mnie ona wspomnieniem, rozdziera mi serce....

Nie wiem, co się wówczas ze mną działo, pamiętam tylko, że postanowiłem zaczekać spokojnie aż do końca tej nędznej komedyi! Patrzałem na ich uścisk gorący, patrzałem na ich pocałunki, patrzałem, jak szarpano mój honor i — milczałem. Nie dawałem znaku życia! Nie wiem, czy byłem przytomny, ale pamiętam, że słuchałem z chciwością każdego ich słowa.

Ramię Gwidona obejmowało postać Niny a śliczna, jasna jej główka opierała się na jego ramieniu. Tak samo i ze mną zwykle chodziła! Miała białą suknię na sobie a przy staniku, czerwoną różę, która wyglądała z daleka, jak plama — krwi! Twarzyczka jej promieniała szczęściem, usta uśmiechały się słodko, oczy zaś spoczywały z wyrazem serdecznej miłości, na pięknej twarzy mego — przyjaciela!

— Nie wiem doprawdy, — odezwała się teraz, — co by się było działo, gdyby Fabio nie był umarł w samą porę!

Niecierpliwie oczekiwałem jego odpowiedzi.

Gwidon rozśmiał się głośno.

— Ach, on niebyłby nigdy odkrył prawdy, — zawołał. Byłaś zbyt ostrożną i zręczną, Nino! Chronił nas też wielce jego egoizm, miał on tak wysokie o sobie mniemanie, że zdawało mu się niemożliwem, aby można obok niego kochać jeszcze innego!

Moja żona, ten czysty brylant, ta nieskalana gwiazda, westchnęła i rzekła:

— Cieszę się, że on umarł! Ale tobie nie wolno teraz przychodzić tu tak często! Ludzie mogliby się domyślić — służba — sześć miesięcy co najmniej muszę nosić żałobę —

Gwidon pochylił się i pocałował ją.

Boże, zmiłuj się nademną! Niech wspomnienie o mnie nie przeszkadza wam nigdy! Kochajcie się, co mnie to obchodzi. Ja przecież nie żyję!

— Wiesz, najdroższa, — odezwał się znowu Gwidon,— że właściwie szkoda Fabia! On był wyborną opieką naszej miłości, i to bezwiednie! Odgrywał on znakomicie rolę durnly!

Gałęzie, które mnie zakrywały, poruszyły się mocno.

Nina przytuliła się silniej do ramienia Gwidona.

— Coś zaszeleściło, — szepnęła. — Może duch jego — ta aleja. — Po co przyszliśmy tutaj, to jego ulubione miejsce. Nie zapominaj też, że on jest ojcem mego dziecka!

— Czy myślisz, że ja o tem zapomnieć mogę? Przeklinam go za każdy pocałunek, który mi z ust twoich ukradł!

Rozśmiałem się mimowoli na to zupełnie nowe pojmowanie prawa małżeńskiego. Więc mąż był złodziejem — on kradł pocałunki, należące kochankowi! Ach, mój najszczerszy, najmilszy przyjacielu, jak blizkim byłeś śmierci w tej chwili! Gdybyś był mógł spojrzeć w moje oczy, byłbyś poznał, że życie twoje nie było warte złamanego szeląga!

— Czemu ty zostałaś jego żoną, — zapytał znowu po chwili, bawiąc się jej złotemi kędziorkami, leżącemi na jego ramieniu.

Nina podniosła główkę.

— Czemu? Bo znudził mi się pobyt w klasztorze i wieczne odmawianie modlitw z zakonnicami, bo on był bogatym, a ja biedną, jak mysz kościelna! Ja nie lubię biedy! I on kochał mnie szalenie!

— A ty kochałaś go także, — zawołał Gwidon oburzony.

— Ba, tydzień lub dwa, — odrzekła niedbale, — tak długo, jak Włoszka zwykle męża kocha! Czemu dziewczęta wychodzą za mąż. Dla pieniędzy — dla stanowiska —! Wszystko to miałam od razu!

— Więc gdy zostaniesz moją żoną, to nic już nie zyskasz? — szepnął Gwidon drżącym z gniewu głosem!

Nina rozśmiała się i położyła mu na usta swoją drobną, białą rączkę, ozdobioną kosztownemi pierścionkami.

— Nic zgoła, zawołała. Nie przypominam sobie wogóle! abym kiedykolwiek była powiedziała, że zostanę twoją żoną, Kocham cię bardzo, ale — no, nie wiem jeszcze! W każdym razie jestem teraz wolną i mogę robić, co chcę! Użyję wolności....

— Nino! przerwał Gwidon namiętnie, nie pozwolę ci szydzić ze mnie! Znosiłem dużo — już w dzień twego ślubu pokochałem cię szalenie, gdyś stała obok tego biednego dziwaka Fabia! Czy myślisz, że się tego wstydziłem? Wcale nie, wiedziałem, że jesteś kobietą, nie aniołem — i dlatego czekałem. Po trzech miesiącach wyznałem ci moją miłość— przyjęłaś ją — a teraz chcesz mnie zbyć niczem? Męża wolno ci było oszukiwać, ale mnie....

Nigdy! Nie odważysz się na to! Nie żałowałem Fabia, bo on zbyt łatwo dał się zdradzać. Mąż każdy powinien strzedz żony — inaczej staje się piłką, którą każdy rzuca dowolnie na wszystkie strony. Ale powtarzam ci raz jeszcze, Nino jesteś moją i będziesz moją!

— Daj mi pokój, zawołała Nina. Nie trzymaj mnie tak mocno....

Gwidon puścił jej ręce, które poprzednio uchwycił, i cofnął się natychmiast.

— Wybacz, najdroższa, szepnął, nie chciałem cię obrazić. Kocham cię nad życie! Nie gniewaj się. Jesteśmy oboje wolni i możemy być nieskończenie szczęśliwi. Śmierć Fabia była prawdziwem dla nas błogosławieństwem — teraz należy przyszłość do nas!

— Jesteś szalony, mój Gwidonie, zawołała, rzucając mu się w objęcia. Szalony i zazdrosny. Czy jeszcze nie dałam ci dowodów mej miłości? Pamiętasz, jak raz wieczorem Fabio czytał na balkonie Platona, a ja w salonie śpiewając, powiedziałam ci, że cię kocham? Ach, jaki ten Fabio był nierozsądny.

Oboje rozśmiali się głośno.

— Wiem, że mnie kochasz, rzekł znowu Gwidon, i dlatego jestem zazdrosny. Fabio ufał ci, ale miłość jego nie była tak gorącą jak moja, on więcej myślał o sobie i o swoich książkach! Mąż, który studjuje filozofów, nie może żądać, aby żona nudziła się sama i wiodła życie pustelnicy! Jestem zazdrosny na całe twoje otoczenie, Nino, na kwiaty, które lubisz, na powietrze, którem oddychasz! Byłem zazdrosnym na Fabia i przysięgam na Boga, że zabiłbym bez litości każdego, ktoby mi chciał wydrzeć miłość twoją.

— Już znowu grozisz?

— Nie, nie ukochana! Dopóki kochasz mnie samego, dopóty jestem łagodny, jak baranek. Ale wróćmy teraz do pokoju, obawiam się, aby tu zbyt wilgotnie dla ciebie nie było!

— Jak chcesz!

W tejże chwili dał się słyszeć głos słowika.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

18) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Z okropnym krzykiem „Jezus" spadł stary Ravanel z ściany lodowej w przepaść i pociągnął za sobą cesarzową. Ale Antoni stał mocno na lodzie i trzymał sznur z wytężeniem wszystkich sił. Ravanel i cesarzowa wisieli więc nad przepaścią, pomiędzy niebem i ziemią...



Z okropnym krzykiem „Jezus" spadł stary Ravanal z ściany lodowej w przepaść i pociągnął za sobą cesarzową.

Antoni stracił teraz także równowagę i upadł na lód, sznur wrzynał mu się w ręce, a on trzymał go ciągle.

— Floryanie, — zawołał teraz, — ratuj twego ojca i hrabinę! Schyl się i ciągnij sznur razem ze mną! Pomóż mi!

Floryan przejrzał od razu całe położenie i o ile mógł, pospieszył naprzód. Ale Malatesta zastąpił mu drogę.

— Musisz umrzeć, — krzyknął dziko, — scena ta nie potrzebuje świadków.

Floryan usunął się na bok, i wymierzony cios w serce zranił go tylko lekko w rękę. Potem rzucił się na mordercę i teraz rozpoczęła się straszna walka o życie lub śmierć.

Floryan młody i zręczny, pchał Malatestę ku przepaści, ale Włoch widząc, że ostatnia jego godzina zbliża się, podnosił swe siły, i zdołał pochwycić nóż, który mu Floryan poprzednio wytrącił z ręki. Teraz nie obawiał się niczego, w używaniu noża nie było mistrza, jemu równego!

Udając, że słabnie, opuścił ręce, a gdy młody Ravanel, korzystając z tego, schwycił go za gardło i zbliżył się zupełnie blizko do niego, podniósł nagle prawą rękę i wbił nóż aż po rękojeść w serce nieszczęśliwego młodzieńca. Było to dziełem jednej chwili.

Floryan zatoczył się, wyciągnął ramiona i spadł w przepaść!

— To jeden, — krzyknął Malatesta, — teraz kolej na drugiego.

I zbliżywszy się do leżącego nad przepaścią Antoniego, już podnosił rękę, aby zadać bezbronnemu cios śmiertelny, gdy nagle stało się coś okropnego, a niespodziewanego.

Przerażający huk wstrząsnął powietrze i rozległ się jak grzmot wśród lodowców — potem Malatesta zachwiał się i w następnej sekundzie runął także w przepaść.

Za nim wpadł mały, ciężki i błyszczący przedmiot — rewolwer.

Kto strzelił? kto miał tyle przytomności umysłu w tej strasznej godzinie?

Był to stary Ravanel!

Co się działo w sercu tego nieszczęśliwego człowieka, gdy wisząc pomiędzy niebem a ziemią, widział syna zamordowanego ręką zbrodniarza i ginącego w bezdennej przepaści! I nie mógł mu spieszyć na ratunek — szeroko otwartemi oczami patrzał na wszystko i nie mógł przeszkodzić morderstwu!

— Floryanie! Synu mój! — jęknął z rozpaczą. — Nie mogę nawet pomścić twej śmierci!

— Ravanelu, — odezwała się teraz hrabina, — rozumiecie, co mówię do was?

— Tak!

— Podnieście rękę i wsuńcie ją do mej kieszeni. Tam znajdziecie rewolwer. Weźcie go i strzelajcie do Włocha!

— Krew za krew, — szepnął Ravanel i strzelił.

— Ratujmy teraz hrabinę, — odezwał się Antoni.

— Nie troszczcie się o mnie, — rzekła cesarzowa. — Ja jestem w rękach Boga!

— Ravanelu, — zawołał Antoni, — nie możesz oprzeć się nogami o ścianę?

— Nie!

— Więc zrzuć wszystkie ciężary. Może mi się powiedzie uratować was w inny sposób.

Ravanel rzucił ciężki tłumok w przepaść, Antoni zaś podniósł się nieco, ukląkł, i zebrawszy wszystkie siły, zaczął ciągnąć sznur w górę, ale usiłowania jego były daremne. Ravanela i hrabiny unieść nie mógł, pomimo swych olbrzymich sił.

— Dopomóż mi Boże, mówił ze łzami w oczach. Dopomóż mi! Weź moje życie, a ocal życie cesarzowej!

I znów minęło kilka chwil śmiertelnej trwogi.

Cesarzowa zdawała się być zemdloną, głowa jej zwieszała się na dół i oczy były zamknięte.

Antoni przycisnął twarz do śniegu i płakał jak dziecko.

— Antoni, dał się nagle słyszeć głos starego Ravanela, słuchajno, powiem ci, jaka myśl przyszła mi do głowy.

— Cóż takiego? Powiedz prędko! Siły zaczynają mnie opuszczać, a jeżeli nie zdołam was ocalić, to razem z wami rzucę się w przepaść!

— Nie potrzeba. Uratujesz hrabinę..... masz scyzoryk przy sobie?

— Tak, czemu?

— Daj mi go!

— Na co?

— Przetnę linę. Hrabinę wciągniesz do góry — ja zaś roztrzaskam się o skały. O mnie nie chodzi. Floryan nie żyje, to i mnie nic już do świata nie wiąże.

— Czyś zmysły stracił? krzyknął Antoni oburzony.

— Nie, nie, daj mi scyzoryk!

— Czy myślisz, że hrabina chciałaby być ocaloną kosztem twego życia?

— Nie wiem, ona zemdlała i nie słyszy nic. Daj mi scyzoryk!

— Masz słuszność, szepnął Antoni po krótkim namyśle. Ja uczyniłbym tak samo.

— Podstawię mój kapelusz, rzekł Ravanel. Rzuć nóż!

Antoni okręcił sznur dokoła lewej ręki, prawą zaś wyciągnął i spuścił nóż. Ale zanim scyzoryk wpadł w kapelusz, pochwyciła go cesarzowa i rzuciła w przepaść.

— Słyszałam całą waszą rozmowę, zawołała, i nie chcę ocalić mego życia kosztem czyjegoś! Za nic w świecie. Albo wszyscy troje razem umrzemy, albo się uratujemy!

Czas upływał wolno, a z każdą minutą stawało się położenie tych trojga rozpaczliwszem.

— Módlmy się, rzekła nagle cesarzowa. Przygotujmy się na śmierć.

— Nie, nie! krzyknął Antoni. Spróbuję raz jeszcze!

I jak gdyby mu nowych sił było przybyło, zaczął znowu ciągnąć sznur. Tym razem szczęście sprzyjało mu. Czy to, że Ravanel zdołał się oprzeć nogami o ścianę przepaści, i ulżył tym sposobem ciężaru, czy że rozpacz dodała Antoniemu siły, czy też, że Bóg wysłuchał ich modlitwy i uczynił cud, dosyć, że usiłowania Antoniego pomyślnym zostały uwieńczone skutkiem, i cesarzowa szczęśliwie stanęła na nogach obok swego wybawcy.

— Teraz ja ci pomogę wyciągnąć Ravanela, rzekła.

I położywszy się na śniegu, ciągnęła razem z Antonim sznur tak mocno, że po kilku minutach mógł się Ravanel rękami oprzeć o brzegi lodowej ścieżki.

Ocaleni padli na kolana i w gorących słowach modlitwy podziękowali Bogu za cudowne ocalenie.

— Trzeba nam się przedewszystkiem nieco posilić, rzekła teraz cesarzowa.

— Posilić? Czem? odparł Ravanel smutnie. Mój tłumok leży w przepaści!

— Więc nie mamy ani kropli wina?

— Nie.

— W takim razie spieszmy do chaty! Tam znajdziemy wszystko, czego nam potrzeba!

— Nawet lekarstwo! Ale musimy się bardzo spieszyć.

Droga do chaty trwała całe cztery godziny. Ponieważ cesarzowa była na wpół zemdlona z powodu przebytego niebezpieczeństwa, przeto Ravanel i Antoni nieśli ją, co bardzo utrudniało im wchodzenie na górę. Jeden i drugi upadał z głodu i zmęczenia, pomimo to jednak szli nieustannie dalej, i w końcu, po niezmiernych trudnościach stanęli u celu.



Ponieważ cesarzowa była na wpół zemdlona z powodu przebytego niebezpieczeństwa, przeto Ravanel i Antoni nieśli ją.

Cesarzowa była nieprzytomna.

— Dzięki Bogu, jesteśmy w chacie, zawołał Antoni. Widzę już światło lampy!

— Jakiej lampy? zapytał Ravanel.

— Pewnie tej, która się tam zawsze pali!

— Tam się żadna lampa nie pali! Nigdy! Chyba, jeżeli w chacie znajdują się podróżni!

— A ja jednak widzę światło! Nie dam sobie tego wyperswadować!

— Prawda! krzyknął Ravanel. I ja widzę światło! Co to znaczy?

— Teraz zgasło, szepnął Antoni, zaglądając przez okno. W każdym razie nie może nas tu spotkać nic gorszego niż to, co nas już spotkało! Wnieśmy teraz hrabinę pod dach!

— Przekonamy się też zaraz, kto się w chacie znajduje. Przedewszystkiem trzeba nam rozniecić ogień, aby się hrabina rozgrzała, i przygotować kolacyą. Umieram z głodu.

Mówiąc to, otworzył Ravanel drzwi chaty i obydwaj z Antonim wnieśli zemdloną cesarzową do izby.

— Zapal prędko świecę, zawołał Antoni.

— Zaraz, wiem, gdzie tu czego szukać!

— Ale spiesz się!

Przez chwilę zapanowała cisza w ciemnej izbie, słyszeć tylko było można otwieranie i zamykanie szafy, stojącej przy ścianie, blizko okna.

— No i cóż, znalazłeś? zapytał Antoni niecierpliwie.

— Nie — ja nie wiem — to przecież musi być tutaj — zapałki — zawsze wszystko tu leżało, a dziś znaleść nie mogę.....

I znów głęboka cisza....

Ravanel szukał dalej.

Nagle krzyknął przerażająco. Antoni zerwał się i o ile ciemność na to pozwalała, pobiegł ku niemu.

— Co się stało? — zawołał.

— Co się stało? — powtórzył Ravanel głosem bezdźwięcznym. — Stało się otóż to, że jesteśmy zgubieni. Nie ma tu ani drzewa, ani kawałka chleba, ani kropli wina — wszystko ukradł ktoś. Umrzemy po prostu głodową śmiercią.

ROZDZIAŁ XXXV.

Cesarzowa w chacie.

Antoni zdrętwiał.

— To być nie może, — zawołał. — Mylisz się, przyjacielu! Musimy znaleść coś do zjedzenia i musimy rozpalić ogień. Cóżby się stało z nami, a przedewszystkiem z hrabiną? Za jej życie jesteśmy odpowiedzialni!

Ravanel zaczął szukać na nowo, ale i tym razem daremnie.

— Nie masz zapałki przy sobie? — zapytał. — Może przy świetle znajdę co....

Antoni przypomniał sobie, że wychodząc dziś rano z Chamouni, wziął pudełko szwedzkich zapałek z sobą. Wydobył je więc szybko, ale zapałki stały się tak wilgotne, że dopiero dziesiątą zdołał zapalić.

— Zajrzyj prędko do tej szafy, — zawołał Ravanel, — tu zawsze stała lampa... Ah, i teraz jeszcze stoi, ale nie ma w niej ani kropli oleju! Dlatego usiłowałem ją daremnie zapalić! Przekonaj się sam. Tu w szufladzie leżał zawsze chleb, tam słojki z konserwami, szynka, ser, a tam stały dwie butelki wina i wódki, w kącie zaś izby leżał stos suchego drzewa. I z tego wszystkiego nie ma dziś nic! Widać, że ktoś zrabował chatę. Dla nas nie zostało zgoła nic!

— Ale któżby to był uczynił? — szepnął Antoni.

— Ja nie wiem!

— I wy jeszcze pytacie?—odezwał się za nimi dźwięczny głos Elżbiety. — Nie domyślacie się, kto tu mieszkał, kto zabrał żywność? Otóż nikt inny jak owa obłąkana, którą widzieliśmy przez lunetę na szczycie góry.

— Ach, dzięki Bogu, — zawołał Antoni uradowany, — że pani hrabina odzyskała przytomność! Ale teraz nie potrzebujemy zachowywać ostrożności! Jesteśmy blizko nieba, po nad ludźmi, czemu więc nie miałbym tu wymówić wysokiego imienia twego! Niech je usłyszy ten jedyny świadek, który ma szczęście towarzyszenia pani, ja na klęczkach ucałuję rąbek sukni mojej odważnej, mojej wielkiej i najłaskawszej cesarzowej.

— I Antoni ukląkł i ucałował ze czcią rękę, którą mu Elżbieta z uśmiechem podała.

Ravanel osłupiał.

Cesarzowa austryacka! Więc hrabina Hohenfels była ową wielką, szlachetną, przez wszystkich kochaną i uwielbianą Elżbietą!

I z nią to rozmawiał on, jak z każdą zwykłą śmiertelniczką — ona ciągnęła go razem z Antonim, swemi białemi, delikatnemi rękami, z przepaści!

Poczciwy Ravanel stał z otwartemi ustami i patrzał na cesarzową, jak gdyby własnym nie dowierzał oczom i uszom. Antoni zniecierpliwił się.

— Czego tak stoisz, jak gdybyś do trzech liczyć nie umiał? — zawołał. — Jest to doprawdy cesarzowa austryacka! Wiesz teraz, kogo miałeś zaszczyt przyjmowania w twoim domu!

Ravanel milczał. Przypomniał mu się w tej chwili jego syn jedyny, którego niedawno w tak okropny utracił spo-

sób, i gorące łzy spłynęły po jego zmarszczkami pokrytej twarzy.

Elżbieta zbliżyła się do niego i podała mu rękę.

— Biedny przyjacielu, — rzekł serdecznie, — proszę mi uwierzyć, że odczuwam wasze nieszczęście, i że gorzkie sobie robię wyrzuty, że spowodowałam was i waszego syna do towarzyszenia mi w tej wycieczce. Gdyby nie ja, syn wasz żyłby jeszcze. Padł on ofiarą nędznika, który widocznie na moje czyhał życie, i który bezwątpienia należał do stowarzyszenia tych niegodziwych ludzi, którzy wzięli sobie za cel mordowanie książąt i zaburzanie ogólnie panującego porządku.

— Pani cesarzowo, — odrzekł wieśniak, — od chwili, w której wiem, dla kogo syn mój umarł, nie będę go już tak gorąco opłakiwał! Śmierć jego nie była daremną, ocalił on życie, droższe dla świata, niż jego własne. Niech spoczywa w Bogu, a jeżeli go ujrzę na drugim świecie, co pewnie wnet nastąpi, wtedy powiem mu: mój synu, oddałeś twe życie za najlepszą w świecie cesarzową — śmierć twoja była błogosławioną! A jednak, — dodał, wybuchając płaczem, — jednak wylewam łzy po nim, bo to było jedyne moje dziecko! Miał być podporą mojej starości — a teraz jestem na świecie sam i opuszczony!

Antoni wzruszony, ujął jego ręce i rzekł cicho:

— Nie myślę cię pocieszać, bo wiem, że byłoby to daremne! Ale pomyśl tylko, ile ludzi ginie na wojnie, której cel nie zawsze tak szlachetny, jak ten, dla którego syn twój zginął.

— To prawda! Umarł, i nic go już nie wskrzesi. Ale w tej chacie znajduje się troje ludzi, którzy jeszcze żyją — a pomiędzy tymi kobieta, która za jakąkolwiek cenę musi być ocalona.

— Czy położenie nasze jest tak smutne? zapytała cesarzowa. Znajdujemy się wprawdzie na wysokości czterech tysięcy stóp na Montblanc, burza gwałtowna szaleje w około nas, nie mamy ani ognia ani środków żywności, ale czy myślicie, że zawieja nie ustanie do jutra rana, i że wtedy bezpiecznie możemy wracać?

Ravanel zamyślił się na chwilę.

— Gdybyście, pani cesarzowo, nie byli tak odważną, rzekł w końcu, to powiedziałbym wam: połóżcie się teraz i śpijcie spokojnie, jutro będzie pogoda i my będziemy uratowani. Ale nie widziałem, abyście byli drżeli z strachu, wisząc nad przepaścią, i dlatego powiem wam prawdę! Zawieja taka trwa tutaj zwykle ośm do dziesięciu dni. Chata cała przysypaną bywa śniegiem. Gdybyśmy mieli żywność, to moglibyśmy mieć nadzieję wyjścia z tego grobu, bo w trzech dniach topnieje śnieg. Nie jest on tak twardy i trwały jak ten, który leży na lodowcach. Ale my nie posiadamy ani kromki chleba, ani kropli kawy lub wina i to właśnie jest naszem nieszczęściem. Bo jeżeli tu nie zmarzniemy, to umrzemy śmiercią głodową!

— Nie ma tu zupełnie nic do jedzenia? rzekła cesarzowa. Nie ma żadnych zwierząt, ptaków — nic?

— Nic! W tej wysokości nie ma zwierząt, ani ptaków! Czasem tylko zjawiają się ludzie — jedyne żyjące istoty!

Wicher wył strasznie i trząsł chatą tak, jak gdyby ją każdej chwili miał unieść z sobą, a przez rozmaite otwory w dachu zaczął się gęsto sypać śnieg do izby.

— Moi drodzy przyjaciele, rzekła cesarzowa, pamiętajmy teraz przedewszystkiem o tem, że kto sobie sam pomaga, temu Bóg pomoże! Jeżeli będziemy patrzeć bezczynnie na nasze niebezpieczne położenie, to wkrótce zginiemy tu marnie, jeżeli się jednak dzielnie bronić zaczniemy, to Bóg zlituje się nad nami i ześle nam ratunek. Bądźmy jak żołnierze, którzy walczą aż do ostatka, chociaż widzą, że stanowiska ich stracone.

— Święte słowa, zawołał Antoni. Powiedz nam, pani cesarzowa, od czego mamy najpierw zacząć.

— Od góry, rzekła cesarzowa, wskazując na zepsuty dach. Musimy zapobiedz, aby śnieg tu nie wpadał. Trzeba więc zamknąć otwory.

Ravanel nie namyślał się długo. Połamał z pomocą siekiery szybko jedną z ławek uważając, aby nie skrzywił gwoździ, i wszedłszy na ramiona Antoniego, przybił deskę pod otwór w dachu tak zręcznie, że śnieg nie mógł już wpadać.

— Bardzo dobrze pochwaliła Elżbieta, teraz przynajmniej jesteśmy od śniegu zabezpieczeni. Stołek co prawda zmarnowany, ale będzie go można później zastąpić innym, a z tego, co pozostało możemy rozpalić ogień. Macie zapałki przy sobie?

— Mamy, zawołał Ravanel, i kilka minut później palił się na kominie jasny ogień. Wystarczał o tyle, o ile było potrzeba do rozgrzania zesztywniałych członków, i to na razie było najważniejszem. Ku niezmiernej swej radości znalazł Antoni w kącie izby kilka kawałków węgli, co się przyczyniało do utrzymania ognia. W izbie było teraz dosyć ciepło.

— Nie potrzeba nam obecnie niczego więcej, jak kolacyi, odezwała się cesarzowa. Czy nic nie macie? Przeszukajcie raz jeszcze wasze kieszenie!

Ale w kieszeniach nic nie było! Ani nawet kawałka suchej skórki chleba!

— To źle, szepnęła Elżbieta, nie pozostanie nam nic innego, jak wyrzec się kolacyi!

— Ja sobie z tego nie wiele co robię, — zawołał Antoni, — ale myśl, że jutro rano nie będę jadł śniadania a po śniadaniu obiadu, a po obiedzie kolacyi — o — to jest mniej przyjemne!

Pomimo rozpaczliwego położenia, w jakiem się znajdowali, roześmiała się cesarzowa serdecznie. Ale potem spoważniała zaraz i rzekła:

— Czy to prawda, że w każdej takiej chacie są dwie izby? jedna dla mężczyzn, a druga dla kobiet?

— Tak, — zawołał Ravanel, — tam są drzwi! Zapomniałem zupełnie o tej drugiej izbie! Może tam znajdziemy co do zjedzenia, chociaż zwykle w izbie kobiecej nie ma nic zgoła.....

I ożywieni nową nadzieją, pobiegli obydwaj do przyległej izby.

Nagle krzyknął Antoni wesoło i zaraz potem ukazał się na progu z bochenkiem chleba i całą szynką.

— Dzięki Bogu, — wołał, nie posiadając się z radości. — Znaleźliśmy skarb prawdziwy!

— Gdzie i jak? — spytała cesarzowa zaciekawiona.

— W kącie izby pod słomą, tak, że w pierwszej chwili nie widzieliśmy nic. Ravanel szuka dalej, może jeszcze znajdzie co, ale chociażby już nic więcej nie znalazł, to jednak głodni nie udamy się dziś na spoczynek!

Wkrótce wszedł Ravanel z butelką, pełną wódki, i postawił ją z tryumfem na stole.

— Mamy wyborną kolacyą, — rzekła Elżbieta, — ale musimy się obejść bez noży i widelcy.

Kieszonkowym nożykiem odkroiła tak, jak się dało, kilka kawałków szynki, chleb połamał Antoni, i wszystko troje zabrało się z największym apetytem do jedzenia. Cesarzowa wypiła nawet trochę wódki, co ją niezmiernie orzeźwiło i wzmocniło.

— Jeszcze mi nigdy kolacya tak nie smakowała, — mówiła z uśmiechem. — Mój kucharz w Wiedniu nie umie przyrządzać takich przysmaków!

— Głód najlepszym jest kucharzem, — odrzekł Antoni.

Po kolacyi kazała Elżbieta Antoniemu schować starannie resztę chleba i szynki, bo to jedynym ich było zapasem żywności.

— A teraz, — rzekła, — rozważmy, co uczynimy? Mamy tu czekać, aż nam z Chamouni pomoc przyjdzie? Czy w ogóle możemy na pomoc liczyć? Czy nie lepiej próbować wrócić, jeżeli powietrze się zmieni?

— Że pomoc nam przyślą, — odparł Ravanel, — o tem nie wątpię ani na chwilę. Za pomocą lunety dostrzeże pan Balmat nasze rozpaczliwe położenie i pospieszy z pomocą! Trzeba nam tu wytrwać! Dopóki trwa zawieja, nie możemy się wyruszyć z chaty, byłaby to pewna śmierć!

— Czy ta zawieja długo trwać będzie?

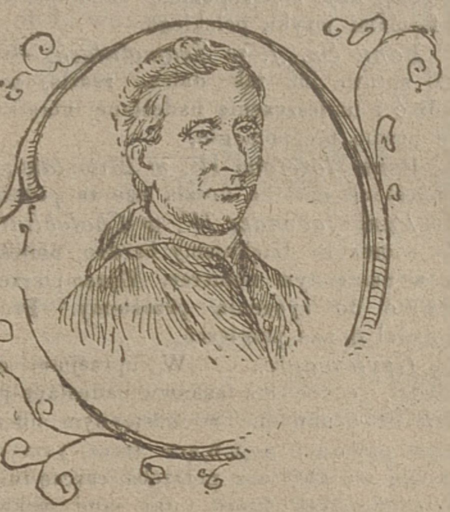
— Powiedziałem już, że trwa ona zwykle ośm do dziesięciu dni, ale może też być, że wiatr zmieni kierunek — w takim razie ustaje śnieżyca natychmiast. Powrót i wtenczas jednak bardzo jest niebezpiecznym, wszędzie bowiem tworzą się lawiny, a co to znaczy, każdy chyba wie!

— Więc musimy cierpliwie czekać i nie tracić ufności w Bogu, — rzekła Elżbieta. — Idźmy teraz na spoczynek, może jutro rano będzie wszystko lepiej, niż myślimy.

Mówiąc to, poszła do sąsiedniej izby i położyła się spokojnie na pęk słomy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z chwili.



S. p. Kardyn ł Mieczysław hr. Ledóchowski zmarł dnia 22-go b. m. Żałobna ta wieść odbiła się rozgłośnem echem w całym świecie katolickim, a u nas wywołała głęboki żal i smutek. (Patrz artykuł wstępny.)

Wiadomości.

— **Spis obywateli** m. Poznania, uprawnionych do głosowania przy wyborach członków Rady miejskiej, jest wyłożony do przeglądania w czasie od 15 do 30 b. m. w nowym ratuszu w pokoju 38 na drugiem piętrze w godzinach biurowych. W tym czasie też można podnosić ewentualne zarzuty przeciwko niedokładności spisu. Późniejsze zarzuty nie będą uwzględnione.

Kto dotychczas nie przeglądał spisu wyborczego, niech to uczyni jeszcze w ostatnich dniach i niech przekona się, czy w spisie jest pomieszczony, a w razie pominięcia niech poczyni odpowiednie kroki.

— **Celem skompletowania roczników** *potrzebne są nam kwartalniki „Pracy" i to drugi i trzeci kwartalnik z r. z. (kwiecień, maj, czerwiec, lipiec, sierpień i wrzesień 1901 r.) Kto z Czytelników kwartalniki te posiada zupełnie kompletne i czyste i ma zamiar je sprzedać, niech nam o tem bezzwłocznie doniesie i zarazem poda cenę.*

— **Zmarła** w Warszawie w roku zeszłym niejakaś Dąbrowska, poczyniwszy różne legaty na cele dobroczynne itp. Czasu swego gazety poznańskie i prowincyonalne zamieściły o zmarłej notatki. Jednemu z Czytelników „Pracy" zależy bardzo na tych notatkach, więc uprasza za naszem pośrednictwem o łaskawe nadesłanie jakiejbądź wiadomości o zmarłej do naszej redakcyi.

— **Teatr Poznański w Kościanie** w sali hotelu Victoria:

W sobotę 26 lipca „Dzierżawca z Olesiowa.

W niedzielę 27 lipca „Azya Tuhajbejowicz."

W poniedziałek 28 lipca ostatnie: przedstawienie „Odrodzenie.

Bilety wcześniej do nabycia w handlu żelaza u p. F. Czaplickiego.

W Grodzisku w sali p. Węclewicza:

We wtorek 29 lipca „Dzierżawca z Olesiowa."

W środę 30 lipca „Odrodzenie."

W czwartek 31 lipca: „Azya Tuhajbejowicz."

Bilety wcześniej do nabycia w handlach pp. Andrzejewskiego, Aleksandrowicza i w sali p. Węclewicza.

— **Pan A. Metelski** nabył od p. J. Skwierczyńskiego w Buku istniejący tamże handel żelaza, towarów krótkich i wszelkich materyałów budowlanych. Szczęść Boże!

— **Murłaty** różnych rozmiarów sprzedaje najtaniej firma F. Urbański i Spółka — interes drzewa komisowo-spedycyjny — w Toruniu (patrz inserat).

— **Zwracamy** baczną uwagę na anons pań W. i M. Chmielewskiej w Poznaniu na Piekarach nr. 8. polecających prywatny pensyonat dla panienek.

— **Biuro informacyjno-komisowe** „Justitia" w Poznaniu przy ulicy Wiedeńskiej nr. 8 I piętro, pośredniczy we wszelkich sprawach z skutkiem pożądanym. Właścicielem biura jest znany i szanowany obywatel, p. I. N. Szulc, weteran z r. 1848.

— **Ku przestrodze.** Jak niebezpiecznie jest zadawać się po dziś dzień z Niemcami dowodzi następujący wypadek, którego epilogiem był proces przed poznańską izbą karną.

Krawiec p. Julian Płaszczyk z ulicy Półwiejskiej nr. 40 miał w mowie z zegarmistrzem Arndtem z Chwaliszewa o sprawach wrzesińskich obrazić cesarza niemieckiego. Na denuncyacyą Arndta został Płaszczykowi wytoczony proces, którego ostatni termin odbył się w czwartek d. 10 b. m. Płaszczyk został skazany na cztery miesiące więzienia, przez który te czas chorowita żona z sześciorgiem drobnych dziatek będzie skazaną na nędzę.

Mamy nadzieję, że znajdą się serca litościwe, które przyczynią się do ulżenia ich niedoli.

Dla nas powinno to być przestrogą, z kim przestawać powinniśmy, a rozum nakazuje trzymać się zasady starego przysłowia: „Jest to cnota nad cnotami — trzymać język za zębami." Obrazy majestatu nie mają sensu, powodują kary i pchają w nieszczęście ludzi.

— **Berlin.** Rodak nasz, p. Tadeusz Jaworski, zdał przy tutejszym uniwersytecie z odznaczeniem doktorat filozofii na mocy pracy p. t. „Jan Smolik. Seine Schriften u. Uebersetzungen."

— **Znin.** Na odbudowanie wieży kościoła parafialnego w Żninie złożyli w dalszym ciągu: pp. M. Harmacińska 3 mrk., M. Matuszewska 3 m., M. Rabinek i J. Ruciński po 2 m., K. Strzelińska, J. Torzewska, R. Szlanger, J. Jarącz, A. Buszkiewicz, M. Jochimiak, M. Nowak, J. Wasielewska, M. Antoniak, K. Pietrowska po 1 m., J. Pijanowska, A. Jochimiak, J. Kubisz, M. Strzelińska, M. Larek po 50 fen., M.

Tucholska 20 fen. — wszyscy ze Stempuchowa; N. N. z Ch. 10 m., B. Paluch 5 m., S. Zygarłowski, F. Bzyl, M. Gajewicz po 2 m., J. Gajewicz 3 m., A. Bzyl i N. N. po 1 m., Stankowski 6,20 m., — wszyscy z Wielichowa; R. Wegner i A. Habel z Ostrowa po 10 m., pewien lekarz z podziękowaniem Matce Bozkiej Żnińskiej za wyleczenie ciężko chorego 3 m., J. Król z Turzyna 1 m., J. Reszka 3 m., T. Lisicki, J. Stefański po 1 m. — wszyscy z Landsbergu n. W., B. Radaszewski z Mamlicza 2 m., zebrane w pewnem kółku znajomych u p. Strzyżewskiego 9,50, S. Klich z Mogilna 1,50 m., R. Milewski z Dyseldorfu 6 m., Kałamejka z Małych Lasek 1 m., L. Ciężki 3 m., S. Melerowicz 1,50 m., S. Oszczak, J. Oszczak, B. Barzyński, W. Krause, J. Jasiński, Ł. Barkowski po 1 m., A. Grabarski 50 fen. — wszyscy z Zalesia p. Kcynią. X. prob. Witkowski z Chojny 3 m., Ernsdorff z Łobżenicy 9 m., F. Zembrzuski 5 m., A. Rączkowska, T. Ryszkowski, F. Rączkowski, T. Raczkowski, L. Witkowski, A. Łęgowski, F. Łęgowska, A. Kępska, W. Kossobucki, M. Wiśniewski, J. Gorczyński, M. Gęsicki, M. Fiałkowski, K. Rutkowska, F. Kuropatwa, W. Łęgowski, A. Czołgowski, T. Kowalski, S. Kończewski, J. Kieliszkiewicz, S. Hojnacki, A. Sawicki, W. Fydrych, F. Cąbrowski, A. Bolewska, Z. Szatkowska, B. Gołębiewska, A. Lubońska, M. Bolewska, A. Chmielewska, K. Brzozowska, P. Rumińska, D. Muszyńska, M. Buchalska, M. Blokowska, K. Laskowska, S. Wyczakowska, W. Wyczakowski, S. Wojtylewska, W. Lewakowska, J. Fydrych po 50 fen., F. Milewski, W. Kowalska, W. Szarszewski, T. Kępski, J. Lewakowski, G. Ordońska, J. Michalska, B. Roszkiewicz, M. Wilamowska, M. Bolewska, S. Kordonowska, M. Rutkowski, I. Lewakowski po 1 m., F. Wiśniewska, A. Miszałkowski, F. Czołgowski, A. Sławecki po 30 fen., T. Kossobucki, Sz. Piwoński po 20 fen., K. Kossobucki, J. Lewakowska po 10 fen. — wszyscy z Brzeżna p. Toruniem.

„Bóg zapłać!" „Proście, a będzie wam dano", powiedział P. Jezus, przeto i ja proszę, bardzo proszę.

X. Władysław Jasiński,
administrator.

— **Z Górn. Śląska.** Już raz miałem w życiu szczęście być na odpuście Nawiedzenia N. M. P. w **Piekarach** i ciągle jeszcze myślę o mile tam spędzonych chwilach. Różne okoliczności nie pozwoliły mi przez kilka lat znowu przybyć na to święte miejsce, aż nareszcie znalazła się sposobność i przybyłem szczęśliwie do Piekar. Już w piątek przybyło kilka procesyi i odtąd przybywały bez przerwy z wszystkich stron aż do niedzieli, których liczba coraz więcej wzrastała, szczególnie z powodu wielkich procesyi z okolic industryjnych.

Więcej jak 50 000 osób było tutaj zgromadzonych. Można było widzieć różne stroje i ubiory, szczególnie zauważyłem ludzi z bliskiego Królestwa Polskiego a także i z Austryi w wielkiej liczbie. Kolejka elektryczna przywoziła bez przystanku wielką ilość ludzi.

Przeszło 30 księży — między nimi OO. Franciszkanie — pracowało niezmordowanie w konfesyonałach i na ambonie. Msze św. odprawiały się z rana od 5-tej godz. aż do południa. Obchody stacyi Kalwaryjskich rozpoczęły się po uroczystych nieszporach kazaniem na Rajskim dworze o 6-tej godzinie i zakończyły się po kilku kazaniach w kaplicy Kaifasza. Jak daleko oko ludzkie sięgało można było widzieć ludzi słuchających kazań pomimo czasu niepogodnego. Przez noc zmieniło się nieco powietrze. W niedzielę rano przy nieprzyjemnem powietrzu rozpoczął się obchód dalszy o 5-tej godz. po mszy św. u Kaifasza i zakończył się w kościele Zmartwychwstania. Jak w tym, tak i w kościele N. Maryi Panny odbyły się około 10 godz. kazania z uroczystemi sumami. Co tym razem odpustowi szczególny blask nadało, to było elektryczne oświetlenie obrazu Matki Bozkiej, i ołtarzy w całym kościele i wszystkich kaplic z Kalwaryą. Przez całą noc były oba kościoły, kaplice i Rajski dwór oświetlone tak, że można było wszędzie chodzić w nocy jak podczas dnia. Prawda, że zaprowadzenie elektrycznego oświetlenia z wielkiemi kosztami było połączone, ale spodziewać się należy, że pątnicy na chwałę Bożą i Maryi datki na ten cel składać będą. Mogę Piekary każdemu, który nie może podróżować po dalekich krajach, tylko polecić. Tu nie tylko potrzeby ciała, ale przedewszystkiem potrzeby duszy zadowolić można. Widok na pobliskie Królestwo Polskie jak też i na sąsiednie miasta jest tu bardzo piękny i wątpię, ażeby jeszcze gdzie na Górnym Śląsku był tak piękny widok jak tu. Tak samo powietrze chociaż w bliskości kopalni jest tu dosyć czyste. Z wielkiem zadowoleniem wszyscy pątnicy odchodzili do domów swoich, ich i moje życzenie jest: O! żebym jaknajprędzej znowu tu mógł przybyć!

Pątnik.

Od Redakcyi.

Panu M. w Pniewach. — Sprawami takiemi redakcya się nie zajmuje. Przyślij Pan inserat odpowiednio zredagowany, a zamieścimy bezpłatnie.

Szermierzowi w Śremie. — Zapytaj się Pan w księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu, św. Marcin. Redakcya takiego dziełka nie posiada.

Panu K B. w G. — Jeżeli **się** Pan z ową osobą ugodził, to Pan już nie ma prawa do procesu. W każdym razie poradź się Pan w tej sprawie adwokata.

Wielebnemu Księdzu Z. w Niem. Piekarach (Górny Śląsk). — Notatkę otrzymaliśmy za późno już po wydrukowaniu numeru „Pracy" na dzień 20-go lipca. Na przyszłość prosimy o wcześniejsze przysłanie, a chętnie zamieścimy.

Panu Stanisławowi W. w Poznaniu. — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale wiersz nam nadesłany jest powszechnie znany i był nawet już zamieszczony w „Pracy" w jednym z pierwszych roczników.

Stałemu abonentowi w Jutrosinie. — Notatkę zamieścimy, jeżeli ją Pan powtórzy i podpisze się pod nią wraz z dwoma wpływowymi tamtejszymi obywatelami. Nieraz takie wiadomości mijały się z prawdą, i miały przeważnie swe źródło w nieuczciwej konkurencyi, a przez zamieszczenie naraziła się redakcya tylko na nieprzyjemności.

Irydjonowi. — Pan się ludzi, uważając wierszyki swe za poezye.

Pani Halinie W. w K. — Nie do druku!

Panu R. w Krakowie. — Słabe i banalne.

Panu Wisłockiemu w Sierakowie — Galicya. — Za nadesłany nam łaskawie nr. 2-gi dziękujemy serdecznie.

Panu H. Tarkalowi w P. — Sądząc z listu Pańskiego, w którym pełno błędów ortograficznych, nie możemy o wierszach w nim wzmiankowanych powziąść korzystnego wyobrażenia. Z naszej strony radzilibyśmy wziąść przedewszystkiem gramatykę w rękę, aby się zapoznać choć cokolwiek z formami języka polskiego.

Panu Sz. J. w Szamotułach. — Jeżeli sprawa już tak daleko zaszła, trudno radzić i umieszczenie nadesłanej notatki nic by pewno nie pomogło.

Panu Józefowi W. w Miłosławiu. — Nadesłana notatka doszła nas za późno.

Pani Jadwidze W. w Chołoblinie. — Za wierszyki dziękujemy bardzo, umieścimy je w następnym numerze. Egzemplarze stosownie do życzenia prześlemy. Prosimy i nadal o nas pamiętać.

Grylewiance. — W uprzejmej odpowiedzi, że nowelka łaskawie nadesłana przyjdzie do druku już w następnym numerze; myśl piękna i zajmująca treść, przeprowadzenie nie złe, lecz potrzeba jeszcze tu i owdzie poprawek, które tutaj sami uskutecznimy.

Bylibyśmy bardzo wdzięczni za łaskawe nadesłanie korespondencyi z tamtejszych stron.

Od Administracyi.

Wszystkich Szanownych Czytelników przesyłających na nasze ręce pieniądze, prosimy uprzejmie, by przesyłali takowe *zawsze przekazem pocztowym* a nie w znaczkach, gdyż przekaz pocztowy kosztuje do 5 mk. także tylko 10 fen., przyczem zawsze na pewno dochodzi, nigdy zaginąć nie może, podczas kiedy listy ze znaczkami często nie dochodzą i giną na poczcie bez wieści. — Doniesienie, jako też i cel, na jaki pieniądze są przeznaczone, zamieścić wystarczy w krótkich słowach na odcinku przekazu lub też na karcie pocztowej.

Panu Maciejewskiemu w Grylowie. — Prosimy o kwit abonamentowy i 20 halerzy na porto a prześlemy.

Pani Ludwice Boneberger w M. — Jeżeli Pani na poczcie zaabonowała prosimy się tamże o przysłanie zaległych numerów upomnieć. My przesyłamy takowe tylko za nadesłaniem kwitu abonamentowego i 20 fen. na porto.

Panu F. Balcerz. w H. — To samo.

Panu J. B. w Głomsku. — To samo.

Panu St. M. Sm. w Dolsku. — To samo.

Panu M. Raimanczakowi w B. — To samo.

Pani Pfitzner w B. S. — To samo.

Pani Wiktoryi Dr. w Inowrocławiu. Książka ta w polskiem wydaniu jeszcze nie wyszła. Cenę oznaczyć będziemy mogli dopiero po ukończeniu druku.

Sędzia: — Ach, ty gałganie. Już cię tu chyba dwudziesty raz widzę.
Oskarżony: — A cóżem ja winien, że pan sędzia nie awansuje?

Prosimy odciąć!

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für die Monate August u. September die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 0,84 M.

(Imię i nazwisko): ____________________

(Mieszkanie): ____________________

Obige 0,84 M. erhalten zu haben bescheinigt

____________, den ____________

Kaiserl. Post ____________

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das III. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Czytelnia Polska“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 13 der Zeitungspreisliste)

für 60 Pfg.

(Imię i nazwisko): ____________________

(Mieszkanie): ____________________

Obige 60 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

____________, den ____________

Kaiserl. Post ____________

Na mocy zlecenia wprost, poszukujemy dla rodaka, znanego obywatela, tu w Księstwie kupna

majątku

z przyzwoitym domem, dobremi budynkami, z gorzelnią i nieco lasu, choćby średniego, przy zaliczce 300,000 marek.

Drwęski & Langner
w Poznaniu.

Kupno okolicznościowe.

Z powodu innego przedsiębiorstwa mam do sprzedania realność w samem centrum Górczyna przy trzech ulicach, obszar wynosi ***3200 kwadr. metr., z domem mieszkalnym, murowanym, w rodzaju willi o 8-miu pokojach w parku, stajni*** etc. Przy domu jest duży ogród warzywny i owocowy. Realność nadaje się do każdego przedsiębiorstwa i jest ***już przy zaliczce 6000 marek do nabycia.*** Zgłoszenia przyjmuje pod lit. ***J. S.*** ekspedycya „Pracy," Poznań, ulica Rycerska nr. 38.

Kupno okolicznościowe.

Z powodu choroby właściciela jest korzystnie do nabycia w jednem z większych fabrycznem mieście (ca. 5000 mieszkańców) tu w Księstwie posiadłość w bardzo korzystnem położeniu, składająca się z pięknej, nowej, dwupiętrowej kamienicy, obszernego podwórza z zajazdem, stajniami etc., ślicznego, dużego ogrodu dla publiczności. W kamienicy jest pierwszorzędny hotel, restauracya, winiarnia, handel korzenny, destylacya — przytem jeszcze skład węgli, wapna, artykułów budowlanych i t. d.

Cena za posiadłość 85,000 mk., towary oblicza się podług faktury, **do objęcia potrzeba 50 tys. marek.**

Oferty pod lit. G. 200 do eksped. „Pracy," Poznań, ul. Rycerska 38.

Folwarczek w okolicy Gniezna
tylko 1 klm. od stacyi kolejowej, ca. 136 mórg incl. 15 mórg dobrej łąki z pokładem torfu, troszeczkę ładnego lasu, ziemia dobra jęczmienna w kulturze, bardzo dobrze obsiana, budyńki wystarczające i w porządku, inwentarz kompletny, ***przy zaliczce 12,000 m.*** za 31,500 mk.

Oferty do ekspedycyi „Pracy" pod nr. **2354.**

Polwark 720 mórg w okolicy Znina,
od miasta tylko ½ mili, zdrowa żytnia ziemia i bardzo urodzajna, 20 mórg pięknych łąk, 270 mórg jeziora bardzo rybnego, budynki nowe, dom mieszkalny murowany o 6 pokojach, kuchni itd., inwentarz kompletny przy zaliczce 45,000 mk. pod bardzo korzystnemi warunkam

Oferty upr. do eksp. „Pracy" Nr. 2238.

Folwark 200 mórg tuż pod Rogoźnem,
ziemia dobra, zdrowa żytnia, w wysokiej kultuze; budynki murowane, w dobrym stanie, dom meszkalny obszerny i wygodny, inwentarz 8 koni i 80 krw, mleko dostawia się do sklepów do Poznania, ***przyzaliczce 25,000 mk.*** za 76,000 mk.

Oferty upr. do eksp. „Pracy" ***Nr. 2252.***

Folwark 370 mg. incl. 16 mg. dobrych łąk i 80 mórg pięknego lasu, *pod Grodziskiem*, od szosy tylko 1 klm., *ziemia jęczmienna w kulturze,* budynki kompletne i w porządku, *dwór na suterenach murowany obszerny i wygodny w pięknym ogrodzie;* inwentarz kompletny, *przy zaliczce 80 tys. mk. za 83 tys. mk.*

Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod **Nr. 2180.**

Folwark

800 mg., incl. 60 mg. pysznych łąk, w okolicy Wrześni, stacya kolei i szosa w miejscu; ziemia od skiby do skiby pszenna i buraczanna w bajecznej kulturze. Wysiew 280 mg. oziminy, 100 mg. jęczmienia, ***40 mg. buraków cukrowych,*** 20 mórg lucerny, 200 mórg kartofli i t. d., budynki przeważnie murowane, obszerne i w porządku, ***wygodny dom mieszkalny o 9-ciu pokojach, kuchni etc. w ślicznym ogrodzie,*** inwentarz 8 koni robocz. 31 wołów rob. ca. 80 szt. bydła incl. krów dojnych, 300 owiec, parowa młockarnia itd., ***wszystko w najlepszym porządku.*** Taksa landszaftowa z roku 1888 176,400, ***przy zaliczce 60 tys. mk.*** za 330 mk. morga. ***Majątek ten jest od 50 lat w obecnych rękach niemieckich i jedynie dla śmierci właściciela na sprzedaż.***

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

Wieś
rycerska

840 mórg, incl. 60 mg. dobrych łąk i 15 mórg pięknego lasku, ***w okolicy Rogoźna, od przystanku koleji tylko 2 klm., ziemia dobra jęczmienna bardzo dobrze obsiana w wysokiej kulturze,*** — budynki nadkompletne, murowane pod twardemi dachami w porządku; ***wygodny i obszerny dwór pański na suterenach w wielkim, cienistym parku.*** Całość robi wrażenie pańskiej siedziby. Inwentarz kompletny i bardzo dobry; urodzaje znakomite; gospodarstwo dość zasobne, ***przy zaliczce 60,000 mrk., za 200 marek morgę.***

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

Folwark 370 mórg, niespełna godzinkę szosą od Poznania, stacya kolejki osobowej w miejscu, ziemia od skiby do skiby pszenna, wydrenowana w wysokiej kulturze, gospodarstwo zasobne, budynki obszerne murowane w wielkim porządku, dom mieszkalny o 5 pokojach, przytem wielki ogród owocowy, inwentarz mocny i liczny ***przy zaliczce 30,000 mk.*** za 110,000 mk.

Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod ***Nr. 2248.***

Folwark 620 mórg pod Wągrówcem
tuż przy mieście, ziemia prawie wszystka pszenna, piękne łąki, wielkie bardzo rybne jezioro, budynki obszerne, w dobrym stanie, dwór pański wygodny, w pięknym ogrodzie, inwentarz kompletny, ***przy zaliczce 50,000 m.*** za 145,000 mk.

Jest wdzięczna gleba, majątek wartościowy i donośny. Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod nr **2258.**

Folwark. 400 mg tuż pod Poznaniem
z zupełnie nowemi murowanemi budynkami, ***ładnym nowym i obszernym domem mieszkalnym w rodzaju wili resp. pałacyku,*** z licznym i mocnym inwentarzem, ziemia przeważnie pszenna i w wysokiej kulturze, ***tuż przy dworcu, przy zaliczce 30,000 mk.*** za 135,000 marek.

Oferty do eksp. „Pracy" pod ***Nr. 2253.***

Folwark ca. 160 mg. w okolicy Kostrzyna
ziemia przeważnie pszenna w dobrej kulturze, dom mieszkalny o 3 izbach. kuchni etc., obora murowana, welbowana na żelazie, wielka stodoła o 2 bojowiskach, wszystkie budynki w porządku, inwentarz kompletny, ***przy zaliczce 18,000 m.*** za 45,000 mk. **Kolejka w miejscu.** Oferty do eksp. „Pracy" pod nr. **2344.**

Folwark 220 mg. pod Starogardem, Pr. Zach., ziemia od skiby do skiby pszenna i buraczana, budynki obszerne w dobrym stanie. ***Dwór w stylu pałacykowym o 12 pokojach w pięknym cienistym parku,*** gospodarstwo zasobne, ***przy zaliczce 50,000 marek*** za 240,000 marek.

Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod ***Nr. 2364.***

Folwark 250 mórg — lecz z własnem polowaniem — pod Krotoszynem,
z gimnazyum, wyższą szkołą żeńską, garnizonem i t. d., ***ziemia pszenna w bajecznej kulturze,*** 15 mg pysznych łąk, budynki murowane pod dachówką, cegielnia produkująca rocznie przeszło pół miliona: dworek zupełnie nowy, pański, bardzo ładny i obszerny, w pięknym ogrodzie, ***przy zaliczce 75,000 m.*** za 150,000 mk.

Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod nr. **2260.**

Folwark 500 mórg pod Koźminem.
wszystko pszenna ziemia I kl., ładny i wygodny dworek, budynki obszerne i w porządku, inwentarz kompletny i mocny, ***Grundsteuerreinertrag ca. 3 mk. z morgi,*** przy zaliczce 60,000 mk. po 350 mk. za morgę.

Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod nr. ***2282.***

Folwark 460 mg. w okolicy Krotoszyna;
ziemia pszenna I kl. wydrenowana i wymarglowana w wysokiej kulturze, budynki obszerne i w porządku, dom mieszkalny wygodny w ładnym ogrodzie, 12 koni, 50 sztuk bydła rasowego, 80 świń. Żniwa zapowiadają się świetnie. **Przy zaliczce 40,000 mk.** za 130,000 mk.

Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod Nr. 2244.

Folwark 200 mórg pod Trzemesznem,
ziemia do połowy pszenna i buraczanna, reszta dobra, zdrowa, jęczmienna, 10 mórg pysznych łąk, budynki murowane pod dachówką, dom mieszkalny o 6 pokojach, wygodny, w pięknym ogrodzie, inwentarze kompletne, ***przy zaliczce 25,000 marek za 65,000 mk,***

Oferty upr. do eksp. „Pracy" pod nr. ***2288.***

Folwarczek 240 mrg. tuż przy Rogoźnie z gimnazyum, ***dobrej pszennej i buraczannej ziemi i ślicznemi łąkami, obszernemi murowanemi budynkami, wygodnym domem mieszkalnym o 6 pokojach,*** inwentarz 6 koni, 30 sztuk bydła, znaczna trzoda świń i t. d. ***przy zaliczce 15,000 mk*** za 70,000 mk. Wysiew 25 mg. pszenicy, 50 mg. żyta, 40 mg. jęczmienia, 50 mg. kartofli i t. d.

Oferty up. do Eksp. „Pracy" **Nr, 2300.**

Folwark ***330 mórg, pod Gnieznem,*** ziemia zdrowa i urodzajna żytnia, 36 mg. łąk z pokładem torfu, budynki w porządku, dom mieszkalny o 6 pokojach, 4 klmtr. od dworca, inwentarz kompletny, ***przy zaliczce 12,000 mk.*** za 48,000 Mk.

Oferty upr. do Eksp. „Pracy" pod ***2324.***

Folwark ***670 mg. pod Szubinem, ziemia pszenna I kl., 100 mg. pysznych łąk, 40 mg. niewyczerpanych pokładów bardzo dobrego torfu. Obszerny dwór pański, w ładnym parku,*** budynki bardzo dobre i kompletne, 15 koni i 60 szt. bydła, od miasta tylko 4 klmtr., ***przy zaliczce 60,000 mk. za*** 200,000 mk.

Oferty upr. do Eksp. „Pracy" ***No. 2322***

Folwark 475 mórg z wodnym młynem, niedaleko Poznania, szosa i stacya koleji w miejscu, incl. 100 mg. dwusiecznych łąk, z znacznym pokładem torfu, 50 mórg lasu i ca. 12 mg. wody, budynki murowane w wielkim porządku, młyn wodny prowadzony na wielką skalę przynosi bardzo znaczny stały dochód. Dom mieszkalny murowany na suterenach, o 9 pokojach, kuchni i t. d., w ładnym ogrodzie, położenie bardzo romantyczne i tuż przy samym Poznaniu, z świetną komunikacyą. Inwentarz 12 koni, 30 krów i t. d., wszystko utrzymane w wielkim porządku, przy zaliczce 80 tys. m. za 180 tys. mk.
Oferty upr. do ekspedycyi „Pracy“ pod nr. 2998.

Folwark 310 mg. pod Wronkami (z młynem) z wyśmienitą komunikacyą, incl. 20 mórg pysznych łąk, 60 mórg ładnego lasu *z młynem wodnym, urządzonym także do pędzenia parą, przynoszącym rocznie 7000 mk. stałego dochodu,* budynki murowane pod dachówką i papą w dobrym stanie, *wygodny i obszerny dom mieszkalny z werandą i balkonem, w pięknym ogrodzie,* niedaleko ładna oficyna dla służby i t. d., inwentarz 7 koni, 14 krów, 15 sztuk bydła młodocianego, około 30 sztuk świń i tuczników, połczenie śliczne, okolica bardzo dobra, przy zaliczce 35 tys. m. za 67 tys. mk.
Oferty do ekspedycyi „Pracy“ pod nr. 2091.

Folwark 550 mórg w pobliżu Poznania, od stacyi koleji 4 klm, ziemia dobra, zdrowa jęczmienna. 10 mg. pysznych łąk, kawał ładnego lasku, budynki murowane pod papą w porządku, dwór murowany pod papą wygodny o 7 pokojach, kuchni etc. w pięknym ogrodzie; inwentarz 12 dobrych koni roboczych, 1 stadnik, 13 krów, 5 cielnych jałowic, 10 szt. młodocianego, ca. 20 szt. świń itd. Żniwa zapowiadają się świetnie, przy zaliczce 30 tys. mk. za 110 tys. mk.
Oferty upr. do eksp. „Pracy“ pod ***Nr. 2235.***

Folwark 500 mg. w okolicy Chodzieża, incl. ca. 70 mórg łąk z niewyczerpanym pokładem torfu, ziemia dobra jęczmienna i żytnia w kulturze, budynki gospodarczo murowane pod twardemi dachami w porządku, dwór pański, murowany, na suterenach o 10 obszernych pokojach, kuchni etc. w piękaym parku z widokiem na wielkie jezloro. Wysiew: 150 mórg żyta, 20 mórg jęczmienia, 80 mórg koniczyny, 40 mórg owsa, 70 mg. kartofli itd. Żniwo rokuje obfity plon; inwentarz: 9 koni, 1 stadnik, 23 krowy, 20 sztuk bydła młodocianego itd. przy zaliczce 30 tys. mk. nader korzystnie do nabycia, ponieważ dziedzic nie jest rolnikiem i mieszka w innej prowincyi a folwark ten odebrał tylko w spadku.
Oferty do eksp. „Pracy“ pod Nr. 2104.

Wila

z pięknym ogrodem

na jednem z Poznańskich przedmieść jest **zaraz** przy małej zaliczce do **sprzedania.**

Zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy“ pod lit. **S. 100.**

Willa

w **Zakopanem** wysoko leżąca, z cudnym widokiem na okolicę; 3 lata jak budowana — powodzenie dobre — 12 pokoji gościnnych, śliczny ogród itd. jest za bajecznie tanią cenę z powodu przesiedlenia właściciela do *sprzedania. Cena 35 tysięcy florenów,* które muszą być gotówką wypłacone.

Bliższych objaśnień, lecz tylko reflektantom udzieli

DOM BANKOWO-KOMISOWY

Drwęski & Langner

Poznań, ulica **Rycerska nr. 38.**

Wieś

rycerska

600 mórg w okolicy Wągrówca, incl. 80 mórg pysznych łąk i ca. 3 mg. rybnych stawów, ***ziemia przeważnie pszenna, reszta dobra jęczmienna,*** budynki obszerne i w dobrym stanie, ***dwór pański o 9-ciu pokojach etc. w ładnym parku;*** inwentarz liczny i dobry. Wysiew 40 mg. pszenicy, 40 mg. jęczmienia, 240 mórg żyta, 100 mg. owsa, 80 mg. perek itd. ***Urodzaje świetne. Przy zaliczce 40,000 mrk.*** za 270 mrk. morgę do nabycia od nierodaka.

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
w Poznaniu, ul. Rycerska 38.

Wioska

w okolicy Gniezna tylko 2 klm. od szosy ca 800 mórg. incl. 40 mg łąk, z niewyczerpanym pokładem torfu, ***ziemia przeważnie pszenna i w wysokiej kulturze,*** budynki kompletne, murowane, pod papą.
Dom mieszkalny nowy w rodzaju wili, murowany, pod łupkiem na suterenach, o 8-miu wygodnych, obszernych pokojach i t. d. inwentarze kompletne i w porządku, od miasteczka i szosy tylko 1 klmtr. ***przy zaliczce 75,000 mk.*** 300 mk. za morgę. Oferty upr. do ekspedycyi „Pracy“ pod ***No. 2365.***

Korzystne kupno

Folwark

460 mórg pod Srodą, ***ślicznie odbudowany i sam dla siebie, ziemia buraczanna I kl. ładny obszerny dwór w rodzaju pałacyku,*** inwentarz kompletny i mocny ***Grundsteuerreinertrag ca 3 mk. z morgi*** od Srody niespełna pół mili, ***przy zaliczce 30,000*** za 140,000 mk.
Zgłoszenia przyjmuje

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
Poznań
ul. rycerska 38 telefon 1246

Folwarczek 150 mórg tuż pod Poznaniem z stacyą koleji w miejscu, ziemia pszenna od skiby do skiby w wysokiej kulturze, wygodny i obszerny dwór o kilku pokojach, znakomite budynki, mocny inwentarz, doskonałe żniwa itd. przy zaliczce 35 tys. mk. za 125 tys. mk.
Oferty do eksp. „Pracy“ pod Nr. 2223.

Gospodarstwo 170 mórg w większem, bardzo handlowem mieście, niedaleko Poznania, ze stacyą kolejową w miejscu, *ziemia obiecana, w najwyższej kulturze, budynki bardzo obszerne, murowane, w najlepszym porządku, całe podwórze ogrodzone murem, dom mieszkalny elegancka parterowa wila z wielką salą, 10 pokoji w ślicznym ogrodzie, kościół i szkoła tuż przy wili,* inwentarz kompletny i mocny, do sprzedania za 90,000 mk. przy zaliczce 30,000 mk.
Oferty upr. się do eksped „Pracy“ pod nr. **2210.**

Willa

w **Zakopanem** położona w najromantyczniejszej okolicy, dwupiętrowa, o 30 pokojach, przytem oficyna, piękny ogród, werandy itd. jest z powodu podeszłego wieku właściciela do *sprzedania.*

Cena 75 tysięcy florenów, zaliczka 50 tys. florenów.

Bliższych objaśnień, lecz tylko wprost reflektantom udzieli

DOM BANKOWO-KOMISOWY

Drwęski & Langner

Poznań, ulica Rycerska nr. 38.

Kamienica

w której się od wielu lat znajduje **oberża z zajazdem i ogrodem warzywnym, także 24 mrg. ziemi pszennej,** blizko miasta leżącej (razem albo pojedyńczo) mam zamiar z powodu śmierci mojej żony sprzedać. Dzierżawa z oberży przynosi rocznie mk. 1200. 549

Antoni Czabajski,

Krotoszyn.

Mam do wydzierżawienia 547

dwa lokale.

Jeden stósowny na **handel żelaza** od 1 kwietnia r. 1903, drugi lokal **z wyszynkiem** można połączyć **interes kolonialny i restauracyą** od 1 października 1902 r.
Łaskawe oferty do ekspedycyi „Pracy“ pod lit. **A. B. nr. 547.**

W ożywionem mieście powiatowem Księstwa jest zaraz stary, dobrze zaprowadzony 543

handel kolonialny
i destylacya wraz z wyszynkiem

pod dogodnemi warunkami korzystnie do sprzedania. — Rocznego obrotu przeszło 160,000 mk. Potrzebny kapitał 30—35,000 mk. Łask. oferty uprasza się pod lit. **F. 100** do ekspedycyi „Pracy.“

B. Urbanowicz

Gostyń

poleca się do wykonywania **wszelkich prac w zakres ślusarstwa wchodzących i mechanicznych** jako to: 542

Okien z kutego żelaza, ogrodzeń domów, ogrodów, werand, bram, furtek, balkonów i budowlowe roboty, okucia drzwi i okien

wykonują się szybko po cenach umiarkowanych.

Hurtownie! Detalicznie!

Farby, pokosty, lakiery,

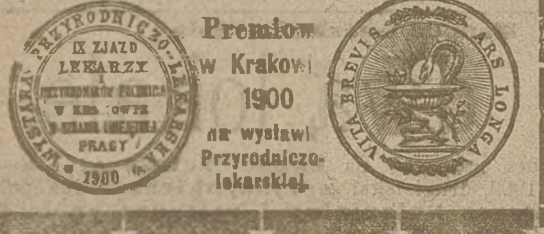
froter, masę woskową do odświeżania podłóg, mebli ogrod., płotów etc., jako też potrzebne szczotki i pendzle do tychże. Carbolineum koloru orzechow. Wszystko znane ze swej dobroci poleca po znanych tanich cenach hurtownie i detalicznie 738

Centralna Dregerya
J. Czepczyński,
Poznań, Stary Rynek nr. 8.



Telefon nr. 298.

Dobre mydło
kupuje się w fabryce 42
St. Żychlińskiego w Gnieźnie.
Piegi usuwa i konserwuje płeć
hygieniczne mydełko lanolinowe.
Swiece kościelne każdej wielkości.



Premiow. w Krakowie 1900 na wystawie Przyrodniczo-lekarskiej.

W pieluchach uczą nas — muzyki,
Szkoła nas uczy — Cyc...ona,
Świat uczy różnej — gimnastyki,
Ale rozumu uczy — żona.

L. Kaniewski
w Poznaniu, ul. Wodna nr. 2
poleca swą od roku 1946 istniejącą
FABRYKĘ TABAKI.
Zwraca mianowicie uwagę
na tabaki rus... holenderkę, prawdziwy Nessing.
Polecam także swój znany
skład cygar
li tylko odleżałych.
Papierosów i tytuni
w najrozmaitszych gatunkach.

NOWOŚĆ! Tabaka zdrowia przeciw katarowi. NOWOŚĆ! Tabaka zdrowia przeciw katarowi.

Folwark
400 mg. niedaleko Mogilna nad szosą, ziemia buraczanna, 50 mg. pysznych łąk. Dwór pański o 10 pokojach w obszernym *pięknym cienistym parku,* nad jeziorem, urocze położenie, budynki gospodarcze kompletne i w porządku, inwentarz bardzo dobry i liczny. *Do nabycia przy zaliczce 45,000 mk.* za 125,000 mk.

Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
w Poznaniu

Wioska
800 mg. pod Gostyniem ziemia przeważnie pszenna, budynki prawie nowe, *dom mieszkalny obszerny* wszystko murowane dostateczny inwentarz, śliczne urodzaje, tuż nad koleją, *przy zaliczce 45,000 mk.* za 200 mk morge. Jest to interes korzystny a na sprzedaż tylko *dla działów familijnych.*

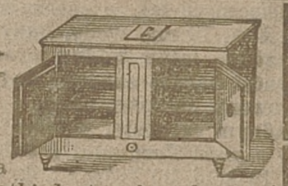
Drwęski & Langner
Dom Bankowo-Komisowy
w Poznaniu

Skład
odpowiedni **dla piekarza,** wraz z mieszkaniem, podwórzem wielkim, stajnią i piekarnią, w najlepszej ulicy, do wydzierżawienia od 1. 10. r. b. w Inowrocławiu. 584
Zgłoszenia:
W. Goldmann,
Inowrocław.

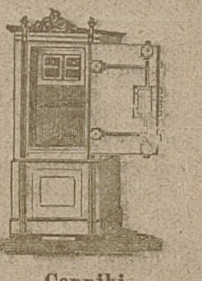
Poszukuje się **kupna** dobrze zaprowadzonego
handlu
żelaza
lub wskazówki gdzieby można takowy z dobrem powodzeniem rozpocząć.
Oferty sub. Nr. 554 do eksp. „Pracy." 554

Dla kupców!
Dobrze zaprow. mały dom towarowy w większem mieście garniz. i gimnaz. jest od każdego czasu do przejęcia. Warunki kupna ułatwione. Towar bławatny miałby w tymże wielkie powodzenie.
Reflekt. z podaniem wpłaty zechcą się zgłosić do
K. Wyszyński
Krotoszyn. 482

Konwie
do transportowania mleka oraz wszelkie sprzęty mleczniczne.



= Płoty =
drutowe z kolcami za 250 metr. 10 mk., z siatki drutowej cynkowanej z otworami 2" za 50 metr. (100 cm. wysoki) 18 mk.



Szafy
żelazne z stalowym pancerzem, specyalne dla kas kościelnych, kasety, szafki i skarbony do wmurowania poleca

T. Stmianowski.
właściciele:
B. Ziętkiewicz — S. Mińciklewicz
Poznań — Bazar.
Telefon 565.

Cenniki darmo i franko!



Kazimierz Bączkiewicz
— pojazdnik —
w Poznaniu, ulica Strzelecka nr. 31.
poleca się do wykonywania wszelkich prac w zakres **pojazdnictwa** wchodzących przy *rzetelnej usłudze i cenach umiarkowanych.* 188

Gotowe pojazdy zawsze na składzie.

— Czy widziałeś człowieka połykającego szpady?
— Widziałem coś lepszego.
— Naprzykład?
— Pan X. połknął majątek ziemski i dwie kamienice i nawet nie zakrztusił się.

Darmo
daje recepty do fabrykacyi sztucznych win
A. Szmytkowski
Pniewy (Pinne, Pr. Posen).
Destylacya i fabryka likierów
poleca po nizkich cenach
Jubileuszówkę
wyborną wódkę deserową, odznaczoną na wystawie w Bordeaux i na wystawie hygienicznej w Poznaniu złotym medalem, oraz wszelkie inne wyroby moje jako to znakomite 57
nalewki, wódki gdańskie,
żołądkowe, alpejską,
araki, rumy i franc. koniaki.

„Italia"
pierwsza poznańska fabryka
makaronów włoskich
podaje do wiadomości Szanownej Publiczności, że otworzyła
przy ul. Szkolnej 15
w narożnej kamienicy ulic Nowej i Szkolnej — wchód z ulicy Szkolnej.
Skład hurtowny i detaliczny
i poleca się względom odbiorców. 748
August Tuchołka, właściciel fabryki.

Dzisiejsza kradzież.

Dziś kradzież idzie taką drogą,
Że wkrótce ci; co kraść nie mogą,
Z żalu zaciskać będą pięście,
I płakać na swe „głupie szczęście.“

Zna się na tem.

Podoficer do jednorocznego: — Co powinieneś zrobić przy spotkaniu kapitana?
— Salutować.
— A jak spotkasz porucznika?
— Salutować.
— A podoficera?
— Zaprosić na piwo.

Maryanna znów sałatę nawpół tylko obmyła! — Lepiejby pamiętała o sałacie, jak o mnie z tem wiecznem myciem! — odzywa się mały Władzio.
